

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII — Kraków, 25 marca 1911. — Nr. 12.

Bandyci w sanatoryum.

(Treść na str. 2).



Od Administracyi.

Niniejszym numerem zamykamy pierwszy kwartał ósmego roku wydawnictwa. Naszych Czyteiników i Prenumeratów prosimy tedy o dalsze poparcie i o rychłe odnawianie przedpłaty na rok następny, a to celem uregulowania nakładu. — Prenumeratorom z Galicyi dołączamy w tym celu do dzisiejszego numeru przekazy pocztowe, już zaadresowane.

Prenumerata „Nowości illustrowanych" do końca roku z przesyłką pocztową wynosi zaledwie 12 koron, na pół roku 8 kor., na kwartał zaś 4 korony.

„Nowości illustrowane" najlepiej prenumerować wprost w Centralnej Administracyi

Kraków XV, Nowowiejska 83,

pod tym też adresem należy przesyłać wszystkie należytości.

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie rosyjskiem można „Nowości illustrowane" prenumerować w biurze

G. Ungra, Warszawa

Aleja Jerozolimska 78,

jakoteż we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Prenumerata kwartalna wynosi: w Warszawie 1 rbs. 80 kop., na prowincyi już wraz z przesyłką pocztową 2 rbs. 60 kop.

Bandyci w sanatoryum.

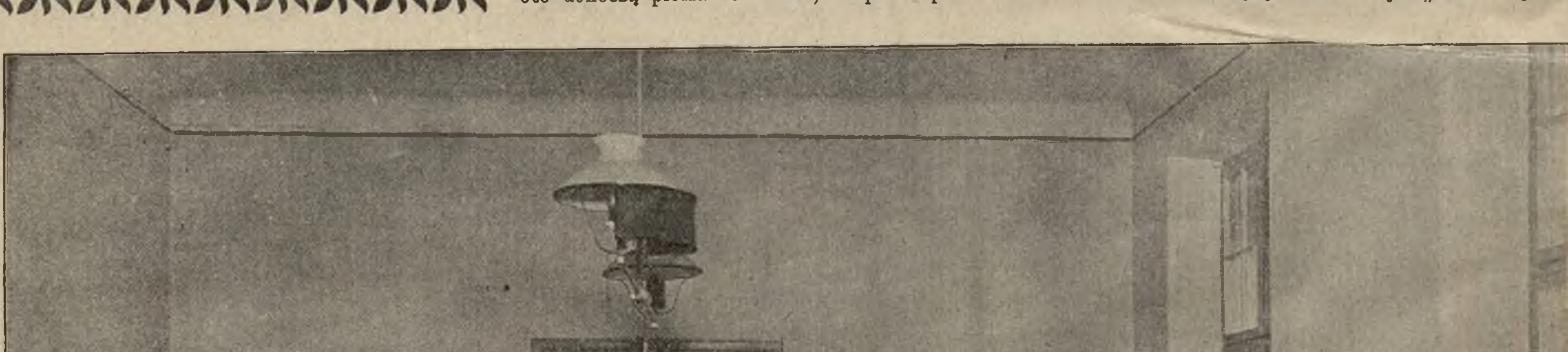
(Do illustracyi tytułowej.)

Plaga bandytyzmu, która do niedawna była smutnym przywilejem Królestwa polskiego, poczyna coraz szersze obejmować kręgi i wkradać się do miejscowości nawet takich, gdzie powinien panować zupełny spokój i bezpieczeństwo, do miejscowości mianowicie, przeznaczonych dla ludzi chorych. Bo oto donoszą pisma codzienne, iż przed paru dniami widownią krwawego napadu bandyckiego było sanatoryum w San Remo.

Do sanatoryum tego przybyło w nocy pięci obcych mężczyzn z prośbą o jałmużnę. Portyer o- prawił oczywiście petentów z niczem, polecając zgłosić się następnego dnia, gdyż biuro zarządu jest w godzinach nocnych zamknięte. Odpowiedź ta nie zadowoliła nieznajomych, z góry też zapowie dzieli, że jałmużnę muszą dostać, w przeciwnym bowiem razie będą musieli użyć „ostrzejszych środ



Nowa placówka filantropijna: Kursistki ambulatoryum z kierownikiem dr. Klęskiem w czasie pracy.



Nowa placówka filantropijna: Sala szpitalna ambulatoryum P. P. Ekonomek, z gronem uczestników uroczystego poświęcenia i otwarcia.

ków". A kiedy portyer na chwilę odszedł ze swego posterunku, bandyci wtargnęli bez ceremonii do wnętrza budynku, chcąc obrabować mieszkańców.

Na drodze stanęła atoli bandytom służba sanatoryum, która skutecznie broniła wejścia do wnętrza i której udało się wreszcie napastników wyprzeć. Bandyci nie dali za wygraną i poczęli z zewnątrz bombardować gmach kamieniami i strzałami dztwo wykazało, że bandyci ci mają na sumieniu kilkanaście zbrodniczych napadów, dokonanych w ostatnich czasach w rozmaitych miastach.

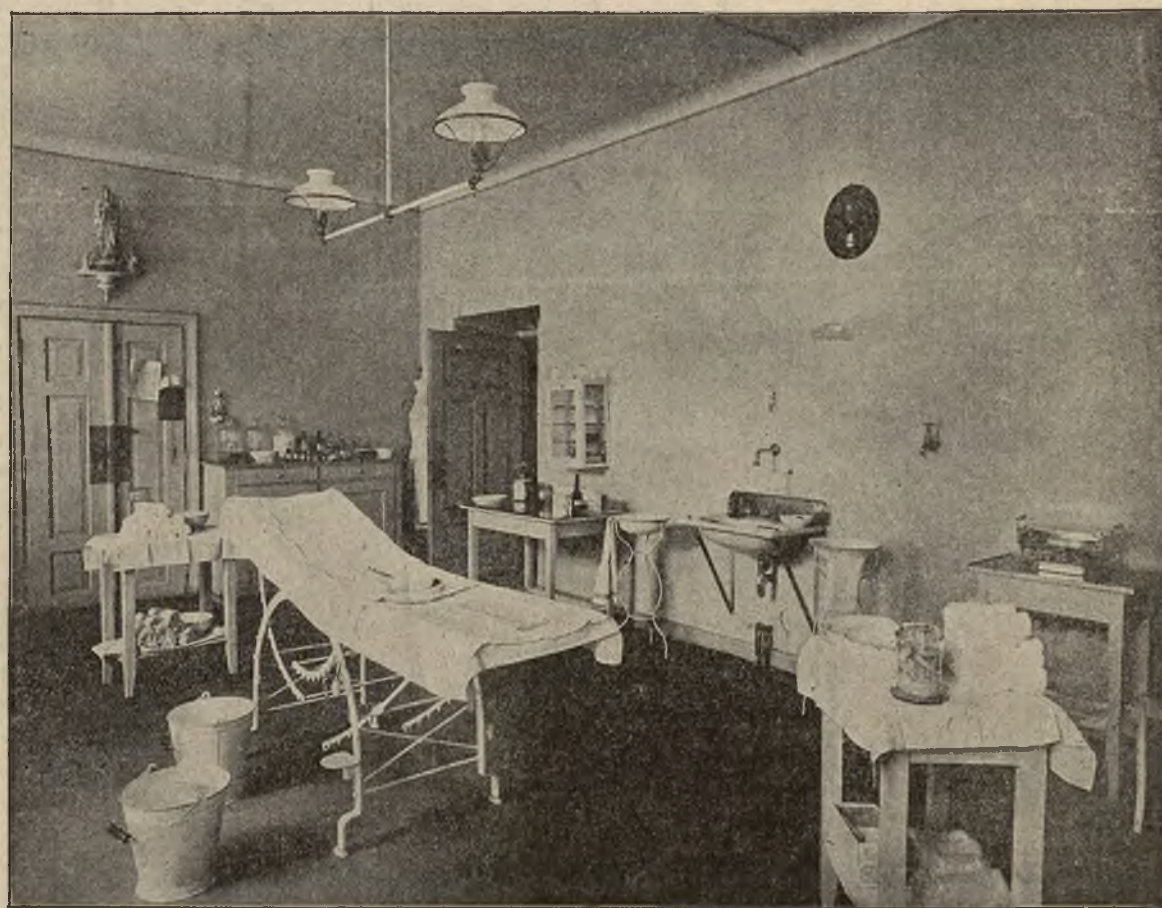
Nowa placówka filantropijna.

Przeszło od roku istnieje w Krakowie ambulatoryum Panien Ekonomek, pozostające pod umiejętnem kierownictwem dra Adolfa Klęska, a rozwijające się coraz pomyślniej. Przez ten czas tysiące cierpiących znalazło tu pomoc i opiekę, panie, pragnące uczyć się samarytanizmu, odbywały tamże kursy pod okiem lekarza, ucząc się udzielania pierwszej pomocy w nagłych wypadkach i opatrywania chorych.

Chorym udzielano dotąd tylko doraźnej pomocy, z braku bowiem funduszów i pomieszczenia ograniczyć się musiano do leczenia ambulatoryjnego, nie przestając jednak krzątać się i starać o założenie Domu samarytańskiego, bodaj o kilku łóżkach na razie, gdzieby chorzy mogli znaleść stałą opiekę i pomoc w swych cierpieniach, choć bowiem posiada Kraków kilka szpitali, brak w nich miejsca na pomieszczenie wszystkich zgłaszających się z miasta i okolicy. Z czasem zamienić się ma ta tak pożyteczna instytucya na zawodową szkołę pielęgniarek, nad czem pracuje już komitet, złożony z krakowskich pań i najwybitniejszych lekarzy krakowskich.



Przed wystawą podhalańską we Lwowie: Wojciech Brzega z Zakopanego, artysta-rzeźbiarz.



Nowa placówka filantropijna: Sala opatrunkowa ambulatoryum.

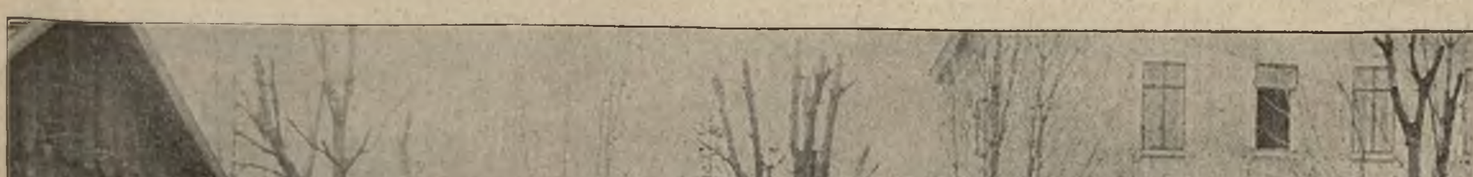
rewolwerów. W czasie tej strzelaniny dwóch pacyentów zostało zabitych, kilkanaście zaś osób odniosło rany.

Ostatecznie jednak bandyci rozprószyli się w rozmaitych kierunkach; zawiadomiona o krwawym napadzie żandarmerya wdrożyła za nimi poszukiwania, które też uwieńczył pomyślny skutek. Już następnego dnia udało się wyśledzić i przyaresztować wszystkich pięciu członków szajki bandyckiej; śle-

Szlachetne dążenia zacnych filantropek doczekały się nareszcie bodaj częściowego zrealizowania. W dniu 19 marca b. r. poświęcił ks. dyrektor Słomiński Dom samarytański pod wezwaniem św. Józefa, urządzony na razie na sześć łóżek, a zaopatrzony we wszystko, czego wymaga najnowsza medycyna. Dobroczynny zakład mieści się przy ul. Warszawskiej pod l. 6 w łaskawie przez Siostry Miłosierdzia odstąpionych na ten cel ubikacyach. Kieruje nim dr. Adolf Klęsk, pomagają mu zaś krakowskie Panny Ekonomki, które nie szczędzą trudów i poparcia materyalnego i moralnego, o ile chodzi o otarcie łez nieszczęśliwym biedakom, dla nich bowiem zakład ten jest przeznaczony.

Nową a tak poparcia godną instytucyę zwiedzać można codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, pomiędzy godziną 10 a 11 przed południem

Spodziewać się należy, że nasze społeczeństwo nie odmówi tak filantropijnej instytucyi swego wydatnego poparcia, na które w całej pełni zasługuje.



Wojskowy kurs telegraficzny w Przemyślu: Oficerowie uczestniczący w kursie, wraz z komendantem szkoły podpułkownikiem Gąsieckim (X) i kierownikiem kursu porucznikiem Gladniggiem (XX).

(Fot. M. Todt, Przemyśl).

Wojskowy kurs telegraficzny w Przemyślu.

Minęły już czasy, kiedy sztuka wojskowa posługiwała się tylko mniej lub więcej skomplikowaną bronią. Obecnie zawezwała ona na pomoc wszystkie prawie najnowsze wynalazki i zdobycze wiedzy, przez co znacznie podniósł się poziom zawodowego wy-

kształcenia wymaganego od oficerów, a nawet od podoficerów. To też raz po raz okazuje się w armii austryackiej potrzeba otwarcia jakiegoś kursu specyalnego, który ma zaznajomić dorosłych uczniów, jak trzeba się obchodzić z pewnemi maszynami i jaką korzyść wyciągnąć z nich można na wypadek wojny.

W Galicyi najwięcej podobnych kursów odbywa się w Przemyślu, który i po wojnie rosyjsko-japońskiej wbrew ogólnym przypuszczeniom pozostał najważniejszym punktem strategicznym naszego kraju.

W pierwszych dniach kwietnia kończy się tam kurs telegraficzny, rozpoczęty 1. grudnia r. z. Miał on za zadanie zaznajomić uczestników przedewszystkiem z telegrafem bez drutu, który, jak dostatecznie stwierdzono, posiada niezmierną doniosłość dla zorganizowanej w nowoczesny sposób armii, mianowicie umożliwia jej zgodność działania i równoczesne wykonywanie ruchów.

W kursie uczestniczyli oficerowie z ekwitacyi piechoty (szkoły jazdy konnej) w liczbie szesnastu oraz podoficerowie wszystkich pułków piechoty i obrony krajowej. Nauczycielem był porucznik Gladnigg z 10. pułku, nauczycielem pomocniczym plutonowy Maniawski. Obaj ukończyli kurs wojskowy pocztowo telegraficzny w Tulln. Komendantem szkoły był podpułkownik Gąsiecki z 77 p. p.



Przed wystawą podhalańską we Lwowie: Gromadzenie przedmiotów, które na wystawę podhalańską przeznaczono.

Jubileusz aktora.

(Do illustracyi na str. 9).

Czterdziestopięciolecie niezwykle owocnej pracy scenicznej obchodził wybitnie utalentowany artysta dramatu warszawskiego, Władysław Szymanowski.

Urodzony w roku 1842, jako syn artysty dramatycznego Wojciecha i wnuk głośnego również artysty Marcina Szymanowskiego (obu b. oficerów wojsk polskich), Władysław Szymanowski, po ukończeniu nauk w szkołach niższych, zaczął uczęszczać do szkoły Sztuk Pięknych, okazując wybitne zdolności do rysunków. Jednocześnie atoli kształci się w sztuce dramatycznej.

Pierwszy występ jubilata odbył się na scenie teatru Rozmaitości 1866 r. Zaangażowany po debiucie na stałe do dramatu, pierwszy wielki sukces odniósł w komedyi Feillet'a „Syn Giboyera".

Szymanowski zajął wkrótce wybitne stanowisko obok ówczesnych filarów komedyi polskiej, jak: Modrzejewska, Bakałowiczowa (siostra jubilata), Derynżanka, Popielka, Królikowski, Żółkowski, Ostrowski, Rychter, Rapacki i inni. Repertuar jego składał się przeważnie z ról wesołych, młodych trzpiotów, komicznych kochanków, a nadto z postaci charakterystycznych wreszcie z rezonerów i tak zwanych w dawnym repertuarze czarnych charakterów.

Trudno wyliczyć wszystkie figury, jakie kreował Szymanowski na polskiej scenie. Doskonały ten artysta ma za sobą około 500 ról, a ogółem występował na scenie 8.875 razy.

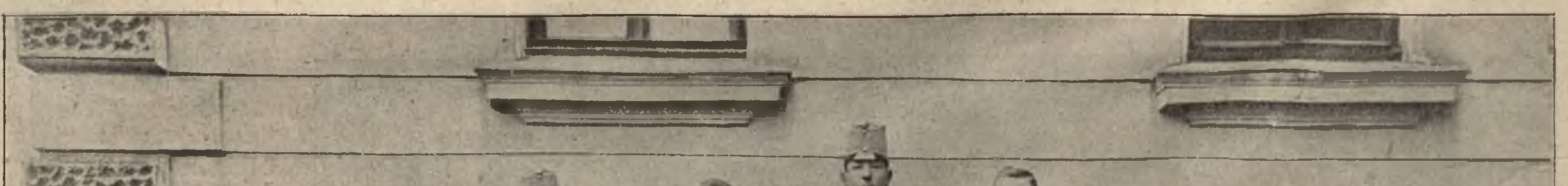
Inteligencya niepoślednia, talent żywiołowy i praca niezwykle sumienna sprawiały, że każda kreacya Szymanowskiego budziła bardzo żywe zajęcie wśród krytyki i publiczności.

Złamanie nogi w roku 1905 nie pozwoliło mu już później na grywanie wielu ról. Dziś przeważnie poświęca się szkole aplikacyjnej, gdzie pracuje jako profesor z całem zamiłowaniem.

Zaznaczyć jeszcze należy, że jako długoletni reżyser dramatu i komedyi, wystawił Szymanowski 160 sztuk na scenie warszawskiej.

Poza pracą na scenie jubilat znany był publiczności warszawskiej jako wyborny monologista i recytator po części własnych utworów, które z niezwykłą swadą wypowiadał na estradach koncertowych. Jako zdolny rysownik był również stałym współpracownikiem warszawskich pism humorystycznych.

Publiczność warszawska zawsze wysoko ceniła tego zasłużonego artystę, nic dziwnego też, że przedstawienie jubileuszowe było wyrazem wysokiego uznania dla artysty, który większą część swego życia poświęcił pracy scenicznej.



Wojskowy kurs telegraficzny w Przemyślu: Podoficerowie uczestniczący w kursie. (Fot. M. Todt, Prz

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

(Ciąg dalszy).

17

— Ale pan wie, gdzie znaleziono tę drugą — a przynajmniej jej szczątki?

— We własnej mojej stajni, dokąd ją zaniósł mój służący Zadok Brown, który utrzymuje, że wyciągnął ją z jednej z naszych pak do śmieci.

— Oto jest ten ułamek butelki, o której mowa. Czy pan poznaje, że kartka, która się na niej jeszcze trzyma, podobna jest do tej, którą znaleziono na butelce, wypróżnionej przez pana na Cuthbert Road?

— Owszem, jest taka sama.

— Panie Cumberland, obie butelki, o których panu wiadomo, że zawierały ten sam gatunek wina, znajdowały się w budynku klubowym o dziesiątej owej nocy. Jakim sposobem dostała się jedna z nich do paki koło stajni pańskiej przed powrotem pańskim następnego dnia?

— Tego ja nie wiem.

— Gdzie stała ta paka?

— W przejściu za stajnią.

— W tem przejściu, przez które pan przechodzi, idąc do drzwi, prowadzących do posessyi sąsiada?

— Tak jest.

Trwożnie oczekiwany moment nadszedł. Zaledwie Artur to „tak jest" wymówił, ujrzałem, że Ella wyciąga ręce i zrywa się porywczo, wołając głośno:

— Nie, nie, ja nie mogę powiedzieć...

Nie dokończyła, gdyż wpośród poruszenia, jakie ten jej nagły wybuch wywołał na sali, zemdlała i ojciec musiał ją wynieść.

Ten epizod naturalnie przerwał tok sprawy. Mr. Fox zawiesił swoje badanie i niebawem przewodniczący odroczył rozprawę.

Gdy obwiniony wstał i obrócił się ku wyjściu, spojrzałem na niego, chcąc się przekonać, jakie wrażenie zrobił na nim ten szczery wybuch dziewczęcia, którego może dotąd nie dosyć doceniał. I widać było, że wielkie to na nim zrobiło wrażenie. Twarz jego była, jak przemieniona i zdawało się, że nie czuje wcale wzroku tylu ciekawych oczu publiczności. Widząc to, a zarazem i to zadowolenie, z jakiem Moffet wietrzył tego nowego świadka, którego z pewnością nie oszczędzi, gdy go raz na ławę świadków dostanie — widząc to, poddałem się losowi.

Polecając w duchu przyszłość Karmeli Bogu, wyciągnąłem z kieszeni kawałek papieru i podczas gdy się sala zwolna opróżniała, spiesznie nakreśliłem tych kilka słów do Moffeta, który pozostał jeszcze i rozmawiał ze swoim kolegą:

„Jest tu obecny świadek, który może złożyć jaśniejsze i bardziej stanowcze niż panna Fulton, świadectwo, że Artur Cumberland pomimo wszystkich na pozór przeczących temu danych, mógł być na terenach golfowych o tym czasie, jak on to zapewnia. Tym świadkiem jestem ja.

Elwood Ranelagh".

Podczas gdy obrońca czytał tę karteczkę, miałem wrażenie, że jestem skazańcem. Z rozpaczą myślałem o Karmeli. Stało się jednakże. Spokojnie wytrzymałem zdziwiony wzrok adwokata, przez długą chwilę utkwiony w mojej twarzy. Po chwili wyjął ołówek i zaczął pisać. W parę sekund później czytałem te słowa:

„Czy koniecznie życzy pan sobie być powtórnie wezwanym na świadka przez obronę?

M."

Odpowiedź moja była krótka:

„Tak. Ale nie po to, by przyznać się do zbrodni. Do tego przyznawać się nie potrzebuję. Lecz ja wiem, kto tym koniem powoził.

R."

Poświęciłem Karmelę przez poczucie sprawiedliwości. I nigdy nie kochałem jej tak, jak w tej chwili.

XXVII.

WYCZEKIWANIE.

Obrona dotarła do punktu zwrotnego. Wszyscy to zrozumieli na pierwszy rzut oka, widząc minę obrońcy, mr. Moffeta, skoro tylko nazajutrz rano sąd rozpoczął posiedzenie. Wzruszenie i podniecenie było ogólne i jakieś hamowane rozgorączkowanie na widok pełnej oczekiwania twarzy obrońcy.

Ja, który wiedziałem, na czem Moffet oczekiwanie swoje opiera i jaką niespodzianką zamyśla sędziów zaskoczyć, ja ze wszystkich osób na widowni byłem najniespokojniejszy. A że odemnie zależeć miało nadanie nowego zwrotu sprawie, więc pragnąłem użyć to spokojnie i starałem się gwałtowne bicie serca opanować. Długo to jednak trwało, zanim skończyło się dalsze badanie Artura przez prokuratora i zanim Moffetowi daną została możność wezwania następnego świadka.

Było coś w zachowaniu się jego teraz, coś w sposobie, jak się nad swoim klientem pochylił, szepcząc mu parę słów upomnienia — a więcej jeszcze coś w tem wzruszeniu, z jakiem Artur, jak gdyby wzbraniając się, słowa te przyjął — co oczekiwanie spotęgowało do najwyższego stopnia; mnie zaś czekające wystąpienie wydało się jeszcze przykrzejsze i jeszcze trudniejsze, niż nawet przewidywałem.

Z jakiemś uczuciem przerażenia oczekiwałem wywołania mojego nazwiska; a że się z tem adwokat ociągał — z niezrozumiałem dla samego siebie wzruszeniem podniosłem wzrok i ujrzałem, że mr. Moffet otwiera drzwi na lewo od przewodniczącego, z tym gestem, pełnym szacunku, jaki tylko w obecności kobiety mężczyzna przybiera.

— Ella — pomyślałem — nie oszczędziło jej moje zgłoszenie się do zeznań!

Ucichły nagle ciche, nieśmiałe kroki, które słychać było z drugiego pokoju. Na progu ukazała się wysoka postać grubo zawoalowanej kobiety w żałobie i oparła się na ofiarowanem sobie ramieniu adwokata. Obwiniony, który stał teraz z wyciągniętemi rękami, jak gdyby bronić chciał i protestować, dziwnie uderzające sprawiał wrażenie.

Zrozumiałem odrazu, że niepodobieństwo stało się faktem i że wszystko to, co on i ja zrobiliśmy, wszystko to, co on i ja przecierpieliśmy i przemilczeliśmy — że wszystko to było daremne.

Mr. Moffet, nie patrząc ani na Artura, ani na mnie, doprowadził świadka na miejsce i przysunął jej krzesło. Podczas zaś gdy podnosiła welon żałobny, zawołał głosem donośnym, który rozbrzmiał po sali do końca:

— Wzywam Karmelę Cumberland na świadka, by zeznawała w obronie swego brata!

Niespodzianka była zupełną, zdumienie ogólne. Dla obrońcy chwila to była wielka. Mnie jednakże strapiło to, przeraziło i niewypowiedziany zamęt wlało mi w duszę; jak przez ciemną mgłę niezrozumiałych, sprzecznych uczuć świeciła mi jej twarz, napiętnowana blizną, ale tak spokojna, jak nigdy nie spodziewałem się ją ujrzeć i tak piękna z tym uśmiechem, pod wpływem którego głęboko wstrząśnięty i zaledwie przytomny brat jej opadł zwolna na swoje miejsce...

Dokoła panowała głęboka cisza — tak głęboka, jak to wrażenie, jakiem odrazu ujęła wszystkie serca.

XXVIII.

„GDZIE MÓJ BRAT?"

Jak wytłómaczyć powrót Karmeli do miasta i to jej sensacyjne ukazanie się na sali sądowej w zupełnem zdrowiu, o czem poprzednio nikt widać nie wiedział, oprócz obrońcy jej brata? To wszystko, czego dowiedziałem się później, opowiem tu w kilku słowach.

Karmela spędziła kilka tygodni w Lakewood, pod okiem pielęgniarki, która miała równocześnie obowiązek śledzenia jej i czuwania nad jej zdrowiem.

Podczas tych tygodni nie zachodziła u niej żadna poprawa na punkcie umysłowego stanu, chociaż fizycznie nabierała sił i chociaż wszystkich uderzała jasnem spojrzeniem i niezamąconą niczem pogodą usposobienia. Trwał u niej dalej ten brak pamięci co do okresu, w którym zaszedł ów tragiczny wypadek. Tak samo też, jak na samym początku rekonwalescencyi, lubiła chwilami mówić o szczęściu Adeli i o nadziei zobaczenia wkrótce ukochanej siostry. Ale poza tem i na dnie tego wszystkiego była w niej jakaś radość potajemna, niezrozumiała dla pielęgniarki; przyczyniało się to raczej do jej wyzdrowienia, a sprawiało chwilami wrażenie, że dziewczyna na skrzydłach się unosi i w raj otwarty ma zapatrzone oczy. Budziło to ciekawość miss Unwin, a równocześnie z obawą myślała o ozdrowieniu pacyentki, na którą pamięć tak okropnych zdarzeń za przebudzeniem czekała.

Tymczasem korzystała Karmela z takiej swobody, na jaką jej stan pozwalał; nigdy jednakże nie zostawiono jej samej, od chwili gdy dnia pewnego oczy jej przybrały wyraz niespokojnego pytania, niezależnie od tego, co ją otaczało. Widocznie drgnęło wtedy coś w jej mózgu i pielęgniarka chciała ją zawieść do domu. Ale to przebudzenie — jeżeli tak to określić — trwało tak krótko i zaraz potem zaczęła znów tak niewinnie dopytywać się o Adelę, że pielęgniarka Unwin postanowiła pozostać jeszcze dni kilka, ażeby niezrównoważonej umysłowości nie narażać przedwcześnie na wrażenie miejsc znanych i ciekawy wzrok ludzi z miasta.

Niestety! przebudzenie miało nastąpić w Lakewood i to wśród nader zwyczajnych okoliczności.

Karmela wychodziła na spacer i właśnie, wracając, przechodziła przez wspólną hotelową czytelnię ku windzie, gdy nagle, rzuciwszy się gwałtownie, przystanęła i zachwiała się, jakby zemdleć miała; natychmiast podtrzymała ją pielęgniarka, która widząc coś niezwyczajnego, podbiegła ku niej żywo.

Przyczyna wzburzenia Karmeli była widoczną. Tuż obok siedziały dwie panie, z których każda trzymała kieliszek z winem w ręku. Jedna z nich piła, druga czekała i patrzyła i widać było, że chce wypić dopiero, skoro tamta skończy. Bardzo to zwykły był widok, lecz wywołał przewrót w zaćmionej dotąd umysłowości Karmeli. Blask młodzieńczej wesołości zagasł na jej twarzy, a policzki, zaróżowione powracającem zdrowiem, zbladły śmiertelnie, przybierając wyraz niewypowiedzialnego cierpienia. Odwróciwszy wzrok od obu kobiet, które ani się nie domyślały, jaka tragedya rozgrywa się o parę kroków, spojrzała na suknię swoją a potem na otaczające ją ściany; wkońcu zwolna, niepewnie, ale z wyraźnym strachem obejrzała się na kobietę, której podtrzymujące ramię poczuła na sobie.

— Proszę mi wytłómaczyć — szepnęła — gdzie ja się znajduję?

— W Lakewood, w hotelu. Pani chorowała i teraz dopiero powraca pani do zdrowia.

Dziewczyna podniosła rękę do twarzy, do tego oparzonego policzka, na którym dotąd była głęboka blizna z rany.

— Tak, przypominam sobie — rzekła. Tu spojrzawszy na suknię, której barwa rozmyślnie była jasną, zauważyła z głębokim wyrzutem:

— Siostra moja umarła. Dlaczego nie jestem w żałobie?

Pielęgniarka, rozumiejąc swoją odpowiedzialność (mówiła następnie, że to była jedna z najpoważniejszych chwil w jej życiu), ukryła własne zdziwienie — ona, zarówno jak wszyscy, myślała, że dziewczyna nic nie wie o spełnionej zbrodni — i uśmiechnąwszy się uspokajająco do wzburzonej dziewczyny, odpowiedziała łagodnie:

— Zbyt ciężko pani chorowała, żeby ją obciążać żałobą. Teraz pani już zdrowsza i może ją przywdziać, jeżeli zechce. Pomogę pani sprawić żałobne suknie.

— I owszem, pani mi się wydaje dobrą i uprzejmą. Czy wolno mi zapytać, jak się pani nazywa i czy same tu jesteśmy w tym wielkim hotelu?

Otóż, chcąc oszczędzić Karmelę przed nieznośną ciekawością tłumów, a siebie samą przed natręctwem nowojorskich reporterów, miss Unwin siebie i Karmelę zapisała w hotelu pod przybranem nazwiskiem. Musiała zatem odpowiedzieć:

— Nazywam się Huckins i jesteśmy tu same. Ale niech to pani nie niepokoi. Pielęgnowała panią dniem i nocą przez długie tygodnie.

— Pielęgnowała mnie pani? Tak? Z powodu tego małego oparzenia?

I znowu ręka Karmeli dotknęła twarzy.

— Nie tylko z tego powodu. Pani przebyła poważną chorobę, zupełnie niezależnie od tego skaleczenia. Ale teraz już pani zdrowsza, już prawie zupełnie zdrowa, dosyć zdrowa, by do domu powrócić, jeśli pani sobie życzy.

— Nie mogę wrócić do domu — jeszcze nie teraz. Nie jestem... nie jestem jeszcze dość silna. Ale my nie powinnyśmy znajdować się tu same, bez męskiej opieki... Miss Huckins, gdzie jest mój brat?

Miss Unwin wobec tego pytania, wypowiedzianego z naciskiem, z obawą, nawet z oburzeniem, poczuła, że wzruszenie, które dotąd zwycięsko opanowywała, zdradza się w jej głosie, gdy wskazując na windę, odpowiedziała:

— Pójdźmy na górę do naszego pokoju. Tam dam pani odpowiedź na wszystkie pytania.

Ale Karmela z samowolą młodego wieku, lub też może rozumiejąc głębiej, niż tamta przypuszczała, wyrwała łagodnie rękę swoją z ręki miss Unwin i podszedłszy prosto do stołu, zaczęła się rozglądać za gazetami. Miss Urwin, nie chcąc robić sceny, poszła za nią, nie powstrzymując jej, dopóki znów nie znalazły się same na środku pokoju. Wtedy dopiero odważyła się powiedzieć:

— Mamy wszystkie dzienniki w naszym pokoju. Niech pani pójdzie na górę, przeczytam je pani.

Los jednak zrządził inaczej. Właśnie w chwili, gdy Karmela gotowa już była ustąpić namowie, wszedł do pokoju chłopak, roznoszący gazety, z wielkim afiszem wieczornego wydania. Karmela przeczytała wielkiemi literami drukowaną zapowiedź:

„Ostatnie sprawozdanie z rozprawy przeciw Arturowi Cumberlandowi, obwinionemu o zamordowanie siostry swej Adeli".

Przeczytała to, zbladła śmiertelnie i zachwiała się, znów bliska zemdlenia. Kilku panów podbiegło; pielęgniarka jednakże odsunęła ich skinieniem ręki, sama pochwyciła Karmelę i podtrzymała ją, w prawdziwej trwodze, by, jeżeli już nie fizyczna, to psychiczna recydywa nie wróciła.

Karmela jednakże powróciła już do świata świadomości, powróciła na dobre. Przyjmując pomoc pielęgniarki, ale nie zdradzając bynajmniej utraty władz myślowych ani niezrozumienia tego, co przeczytała, przemówiła zupełnie przytomnie, utkwiwszy oczy w twarzy miss Unwin:

— A więc to ja dlatego tu jestem, zdala od wszystkich moich znajomych i przyjaciół. Czy tak bardzo byłam chora, że nie można mi było prawdy powiedzieć? Czy nie mogła mnie pani powiadomić o tem, co się dzieje? Pani, albo doktor, albo ktokolwiek?

— Nazbyt ciężko była pani chora — zapewniła pielęgniarka, prowadząc ją ku windzie, a tym sposobem stopniowo do ich pokoju. — Próbowałam zbudzić pamięć pani, gdy minęło przesilenie choroby; zdawało się jednak, że pani zapomniała o wszystkiem, co zaszło owej nocy, a doktorzy zabronili mi nalegać na panią.

— A Artur, biedny Artur cierpi na tem! Niech mi pani wszystko opowie. Ja mogę to znieść — prosiła. — Mogę znieść wszystko, oprócz niewiadomości. Dlaczego na niego padło podejrzenie? Przecież jego tam nawet nie było. Ja muszę do niego pojechać! Niech pani nasze rzeczy spakuje, miss Huckins. Ja muszę zaraz do niego jechać.

Były teraz w swoim pokoju, a Karmela już o własnych siłach stała w pełnem świetle zachodzącego słońca. Wypowiedziawszy te stanowcze słowa, obróciła się ku swej towarzyszce i ta chytra a doświadczona kobieta mogła doskonale przyjrzeć się jej twarzy. Była na tej twarzy stanowczość dojrzałej kobiety. Zaledwie rozdarły się chmury, które jej umysł zaćmiły, obudziły się dziwne władze w duszy tej młodej dziewczyny; nadawało jej to, obok piękności, taką siłę wyrazu, że starsza kobieta pomimo długoletniego doświadczenia swego musiała się zawahać.

— Pojedzie pani — zaczęła i urwała.

Karmela nie słuchała. Jakaś nowa fala myśli napłynęła, a twarz jej, tak wrażliwa teraz na każde przelotne wzruszenie, jak przedtem była martwą jednostajnym wyrazem pogody, zaczęła odzwierciedlać jakieś wątpliwości.

— Jakżeż ja mogę? — szepnęła bezwiednie. — Jakżeż ja mogę!

I stała teraz milcząca, mieniąc się na twarzy, to śmiertelnie blada, to jak zorza rumiana.

Co ona czuła? Co ona myślała? Miss Unwin koniecznie zapragnęła wiedzieć.

Polegając na zaufaniu, jakie jej nieszczęsna dziewczyna w nieszczęściu swem i osamotnieniu okazała, zbliżyła się do Karmeli, ponownie ofiarowując jej pomoc, wyrażając współczucie i tym sposobem wyobrażając sobie, że skłoni ją do otwartości.

Jednakże lęk spowodował ostrożność; to też Karmela, nie pogardzając pocczciwością towarzyszki, natychmiast okazała, że jakkolwiek ciężka gnębiła ją troska i jakkolwiek zbyt wielką ona była na słabe jej jeszcze siły, to jednakże dzielić się nią nie ma bynajmniej zamiaru.

— Muszę się zastanowić — szepnęła, ulegając pielęgniarce i siadając wreszcie znowu na kanapie — Artur pod oskarżeniem, grożącem karą śmierci! Artur oskarżony o zamordowanie siostry! A Adela wcale zamordowaną nie była?

— Nie? — szepnęła zdumiona pielęgniarka, chciwie słuchając każdego słowa z ust tak długo milczącego świadka.

— Czyż on nie miał żadnego przyjaciela? Czyż nikogo tam nie było, ktoby go zrozumiał? Adela... — tu głowa jej opadła tak nisko, że twarz ukryła przed wzrokiem — Adela... miała... narzeczonego...

— Tak jest, pana Elwooda Ranelagh. Jego najpierw uwięziono pod zarzutem zbrodni.

Zdawało się, że dusza Karmeli zamiera przy tych słowach. Oczy, tak bystre dotąd, zagasły, giętkie, młode ciało zesztywniało, jakby martwotą śmierci dotknięte za życia. Nie rzekła ani słowa, ale wstała, jak automat za naciśnięciem sprężyny i stała tak, osłupiała, że aż pielęgniarka, przestraszona rezultatem słów swoich i lękając się zupełnego powrotu poprzedniego stanu, skoczyła po gazetę i dała ją pacyentce do ręki.

Czy za późno? Zdawało się przez chwilę, że tak, ale niebawem wyraz osłupienia ustąpił z oczu, zesztywnienie ciała zelżało i Karmela, opadłszy na sofę, spróbowała czytać podaną sobie gazetę. Oczy jej jednak nie podołały jeszcze zadaniu. Łkając, upuściła gazetę i poprosiła pielęgniarkę, żeby jej to wszystko, co wie, opowiedziała, nie zatajając niczego.



Nagle zwróciwszy się — przystanęła.

Miss Unwin usłuchała z pewnemi jednak zastrzeżeniami. Opowiedziała o tem, jak Adelę nieżywą znalazła pod Szumiącemi Sosnami policya, którą oczywiście ona sama w chwili strachu, czy też walki zawezwała; o obecności tam Elwooda Ranelagh'a i o podejrzeniach, które obecność jego tam obudziła; o tem, jak się wypierał winy; o dziwnych jego niedomówieniach co do niektórych rzeczy, co spowodowało zatrzymanie go w więzieniu, dopóki pewien detektyw z Nowego Jorku nie zabrał się do dzieła i tyle poszlak nie odkrył przeciw jej bratu, że skutkiem tego mr. Ranelagh został uwolniony, a Artur Cumberland uwięziony.

Nie powiedziała nic jednak o śladach na szyi Adeli, ani o specyalnym powodzie, dla którego uwięziono Ranelagh'a. Nie śmiała o tem mówić. Sama myśl o śmierci przez uduszenie straszną jest, a skoro Karmela widocznie nie wiedziała o tem, to i lepiej — myślała — ukryć to przed nią do czasu, dopóki sił nie nabierze.

Karmela opowiadania wysłuchała spokojnie. Usłyszawszy o obecności Ranelagh'a w klubie w chwili wejścia policyi, drgnęła i chciała widocznie stawić jakieś pytanie. Ale chociaż miss Unwin umyślnie czekała, zdawało się, że naprożno szuka słów odpowiednich. Dosłuchawszy do końca, siedziała, milcząc, czas jakiś, poczem stawiła kilka trafnych pytań dla wyjaśnienia sobie głównych powodów uwięzienia brata. Zrozumiawszy nareszcie sytuacyę dobrze, spojrzała znowu w twarz swej pielęgniarce i powtórzyła spokojnie, lecz z niewzruszoną stanowczością to, co już oświadczyła pierwej:

— Musimy natychmiast wracać. Niech pani spakuje rzeczy.

Miss Unwin skinęła głową i zaczęła kufry otwierać.

Był to jednakże podstęp z jej strony. Nie zamierzała tegoż wieczora jeszcze odwieźć swojej pacyentki. Bała się ryzykować. Dość wcześnie będzie jutro. Ale uspokoi ją, robiąc przygotowania, a gdy nadejdzie właściwa chwila, wymyśli jakąś kombinacyę z pociągami lub coś innego, co wyjazdowi nibyto przeszkodzi.

Tymczasem chciała coprędzej skomunikować się z panem Fox. Wysyłała do niego częste telegramy. Brzmiały najczęściej:

„Bez zmiany; umysł wciąż nieświadomy", albo inny wyraz umówiony, mający oznaczać to samo.

Nowego jednak terminu potrzebowała dzisiaj. Musi go wyszukać i przedewszystkiem musi ułożyć telegram.

Miss Unwin chowała książeczkę z kluczem telegraficznym w górnej przegrodzie kufra. Szukała go i szukała i jakoś nie mogła znaleść. Niecierpliwiło ją to. W drażliwem była położeniu i rozumiała to dobrze. Gdzież może być ta książeczka?

Nagle ujrzała ją i przyklęknąwszy przed kufrem, plecami wciąż jeszcze do Karmeli obrócona, wyszukała potrzebne sobie wyrazy. Nachyliła się nad otwartym kufrem, żeby w notatniku zapisać te słowa, gdy, nie wiadomo z jakiego powodu, wierzch ciężkiego kufra opadł i kant jego, żelazem okuty, uderzył ją w kark tak silnie, że padła bez przytomności. Karmela, przybiegłszy, zrozumiała odrazu, że ona teraz jest silniejszą, a dzielną jej pielęgniarka sama odtąd pacyentką.

Wezwawszy pomoc, wytłómaczywszy, co się stało i zrobiwszy wszystko, co doktór dla nieprzytomnej kobiety zaordynował, Karmela, zostawszy sama na chwilę, podeszła do kufra, podniosła wieko i zajrzała do wnętrza. Od samego początku uważnie przyglądała się swojej pielęgniarce i ciekawa była, co stało się powodem tego wypadku. Widząc dwie małe książeczki, wzięła je do ręki. Notesik otwarty leżał na wierzchu, a na białej jego stroniczce wyczytała te słowa:

Ap-Lox-Fidestum-Trubum.

Zabawny nonsens na pierwszy rzut oka. Porównała jednak klucz. I wtedy oderwane a bezsensowne słowa nabrały zrozumiałego znaczenia:

Ap — zmiana.

Lox — ważne rzeczy mówi.

Fidestum — czy mamy wracać?

Trubum — nie da sobą powodować.

Karmela starała się odgadnąć, do kogo ten telegram miał być wysłany. Naprożno jednak. Po chwili namysłu postanowiła działać.

Zauważyła już, że stale mówiono do niej „miss Campbell". Czy to było dowodem dbałości o to, by ją uchronić przed ciekawością obcych, czy płynęło z zamiaru trzymania jej samej w błędzie — w każdym razie w obecnem położeniu dobrze się to składało i mogła na tem tylko skorzystać.

Przeszedłszy do swego pokoju, po drugiej stronie wspólnego ich saloniku, zebrała kilka najpotrzebniejszych rzeczy, włożyła do torby podróżnej, a te następnie wsunęła pod łóżko. Szukając pieniędzy, z radością znalazła wcale wystarczającą sumkę w własnej portmonetce.

Uspokojona pod tym względem, wybrała najskromniejszy kapelusz i płaszcz i włożywszy je na siebie, własnemi drzwiami wyszła na korytarz.

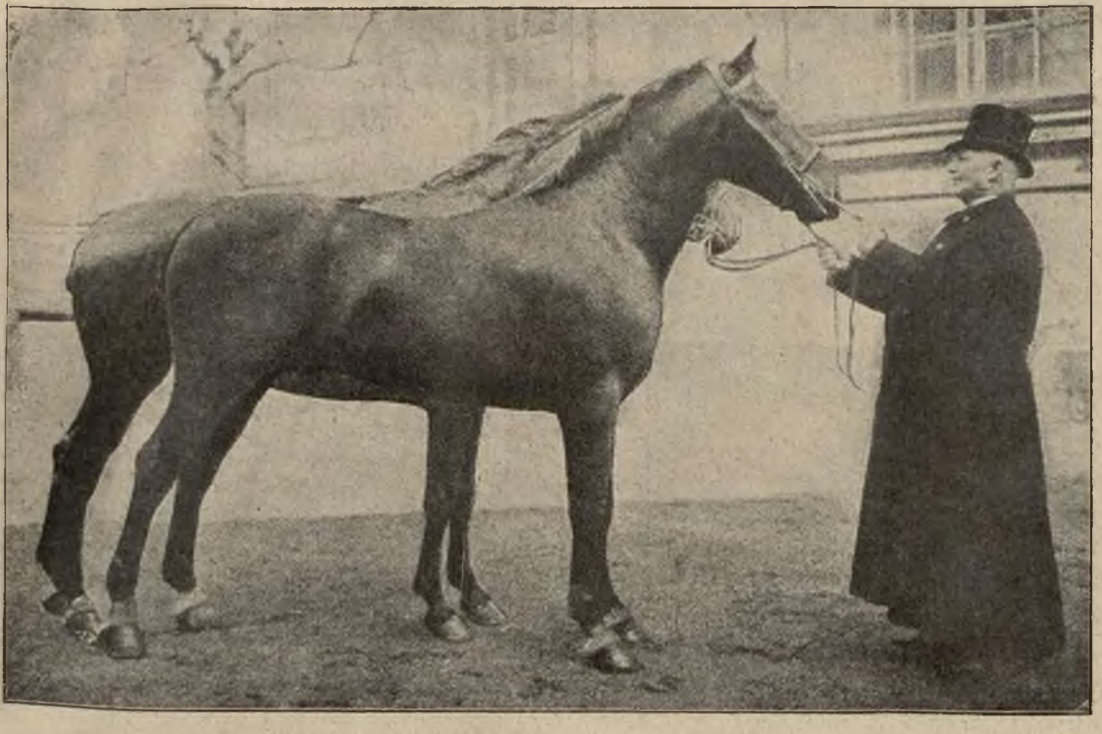
Była to właśnie godzina obiadowa, dla urzeczywistnienia jej zamiarów najodpowiedniejsza chwila. Niezauważona przez nikogo, zeszła do biura hotelowego i podszedłszy do urzędnika, powiedziała mu, że ma parę telegramów do wysłania i że wychodzi na chwilę. Czy zatem może poprosić, by dojrzano tego, ażeby miss Huckins niczego nie zbrakło?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Królewski dar.

Od niepamiętnych czasów istnieje zwyczaj w Europie, iż monarchowie obdarzają się wzajemnie rozmaitego rodzaju upominkami, aby w ten sposób dać wyraz dobrym stosunkom, panującym pomiędzy nimi. Obecnie wstępują w ich ślady i zwierzchnicy amerykańskich republik.

Cesarz Franciszek Józef otrzymał właśnie w tych dniach podobny prezent od prezydenta rzeczypospolitej argentyńskiej. Stanowi go para wspaniałych



Królewski dar: Para koni, ofiarowana cesarzowi Franciszkowi Józefowi przez prezydenta Argentyny.

karosyerów tamtejszego chowu, zbudowanych nader silnie a mimo to odznaczających się nadzwyczajną zgrabnością kształtów i nad wyraz równym i eleganckim krokiem. Jeden z nich trzy i pół-letni ciemno brunatny ogier mierzy 167 cm. wysokości, drugi, gniady, liczy prawie tyleż lat żywota, jest jednak o dwa centymetry niższy. Oba stanowią nader dobraną parę, która będzie prawdziwą ozdobą cesarskiej stajni, obfitującej w nadzwyczaj cenne okazy końskiego rodu, w których sędziwy monarcha jak wiadomo się lubuje i również obdarowuje nimi swych przyjaciół. W ubiegłym tygodniu przesłał cesarz Franciszek Józef królowej włoskiej Helenie w prezencie parę wspaniałych siwków ze swej stadniny w Lipicy.

Argentyńskie ogiery noszą nazwisko: Argentyńczyk I. lub Roosevelt i Argentyńczyk II. lub Missisipi. Przybyły one do Tryestu na amerykańskim okręcie, znosząc zupełnie dobrze trudy i przykrości uciążliwej i długiej podróży, stamtąd odstawiono je do stajni cesarskiej w Schönbrunnie. Natychmiast po przybyciu na miejsce przeprowadzono je przed cesarza, który oglądał je okiem znawcy, nadzwyczaj cieszył się nabytkiem i polecił przedstawicielowi amerykańskiej republiki wyrazić serdeczne podziękowanie swemu prezydentowi.

Smutny koniec rabusia.

Jedną z największych plag okolic podzwrotnikowych są obok jadowitych wężów dzikie zwierzęta, których ofiarą pada corocznie tysiące miejscowej ludności i zwierząt domowych. Szkody w ten sposób powstałe obliczają corocznie na setki tysięcy a nawet miliony, rządy tamtejsze prowadzą urzędowe statystyki poczynionych szkód i wyznaczają premie w gotówce za każdego zgładzonego rabusia.

W ubiegłym miesiącu udało się upolować tego rodzaju szkodnika w holenderskich posiadłościach na Sumatrze. Był to wspaniały tygrys królewski, który w przeciągu sześciu tygodni rozszarpał dwunastu krajowców i niezliczoną liczbę sztuk bydła domowego. Osady i wioski, położone w okolicy, w których grasował ten szkodnik, żyły w ciągłym strachu; nie tylko w nocy ale i w dzień nie chciano się wydalić poza granice zamieszkałej miejscowości, obawiając się napotkać tygrysa, który, jak wiadomo, w zaroślach czyha na swe ofiary. Nie było nocy, aby krwiożerczy rabuś nie urządził napadu na jakąś osadę, mieszkańcy opuszczali swe siedziby i chronili się do miast, gdzie czuli się bezpieczniejszymi. Zwrócono się także do reprezentanta rządu holenderskiego z prośbą o pomoc i opiekę. Z polecenia jego gęste patrole kawaleryi przeciągały przez zagrożoną okolicę, próżne jednak były ich wysiłki, gdyż ostrożny zwierz potrafił zawsze uwolnić się z matni, choć nieraz już zdawało się, że wybiła dlań ostatnia godzina i broił dalej bezkarnie. Wreszcie udało się jednemu z niemieckich osadników schwytać krwiożerczą bestyę w urządzone przez niego żelazne paści. Złakomił się na przynętę, zaniedbał zwykłej ostrożności i to stało się jego zgubą.

Ogólna radość między osadnikami i krajowcami zapanowała na wiadomość o ujęciu rabusia. Z najdalszych stron ściągały całe rzesze ludności na miejsce, gdzie silne żelaza przytrzymały za łapę postrach całej okolicy. Z bezsilną wściekłością rzucał się potwór, jakby przeczuwając, iż wybiła dlań ostatnia godzina, straszliwy ryk jego mroził po prostu krew w żyłach ciekawego tłumu. Wreszcie celny strzał, skierowany w głowę uśmiercił krwiożerczego rabusia i pozwolił nareszcie odetchnąć spokojnie okolicy.

Właściciel plantacyi, dzięki któremu ubito tygrysa, otrzymał od rezydenta holenderskiego wyznaczoną w tym celu nagrodę pieniężną.



Smutny koniec rabusia: Olbrzymi tygrys królewski, schwytany w żelaza na Sumatrze.

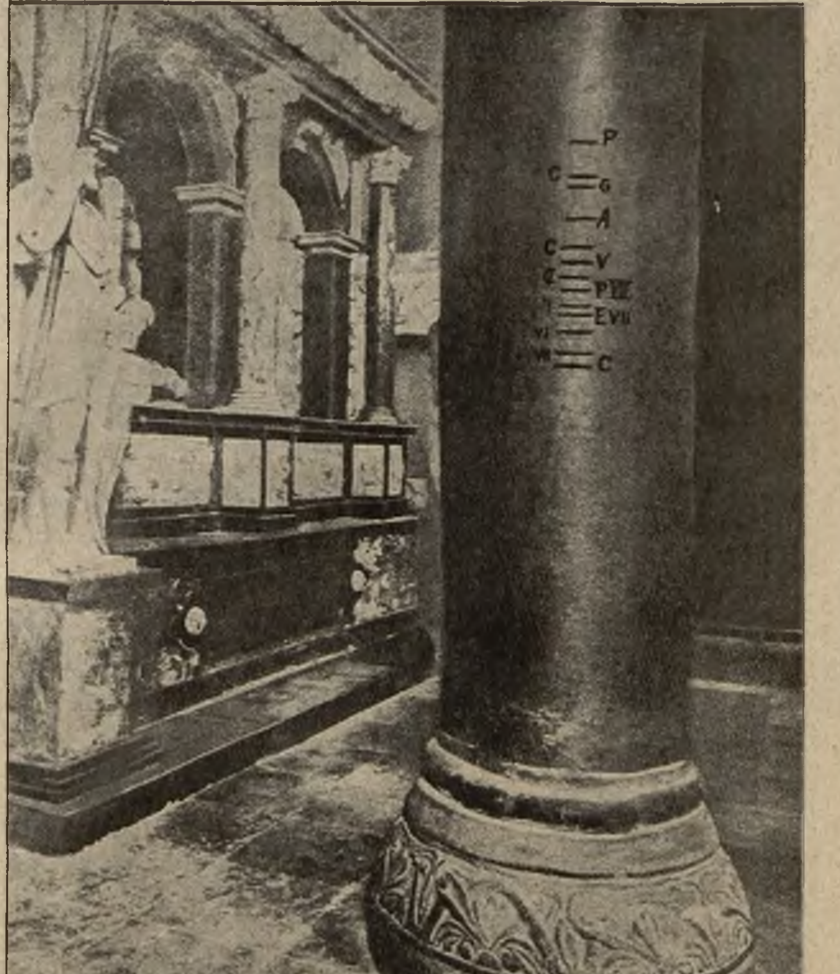
Osobliwość katedry w Roskilde.

Starożytny kościół katedralny w Roskilde możnaby nazwać Westminsterem lub Wawelem Danii. Zawiera on grobowce przeszło trzydziestu królów i królowych oraz znacznej liczby dostojników i uczonych duńskich. Wspaniałe dzieła sztuki, gromadzone w nim w ciągu długich wieków, stanowią atrakcyę świątyni dla podróżników. Największą jednak osobliwością jest potężna kolumna z czerwonego marmuru, umieszczona w niej staraniem Piotra Wielkiego.

W r. 1716 bawił pierwszy cesarz rosyjski w Roskilde dla zacieśnienia węzłów, łączących go z Danią, której potrzebował przeciwko Karolowi XII. Dla zostawienia trwałej pamiątki swego pobytu polecił wystawić w katedrze kolumnę, na której zaznaczono jego wzrost, — trzeba zaś wiedzieć, że Piotr W. był olbrzymem, mierzył bowiem 2 m. 20 cm.

Nie odrazu spodobało się to Duńczykom. Przeciwnie, oryginalny pomysł sprzymierzonego władcy był przez pewien czas przedmiotem uszczypliwych żartów i docinków. Gdy jednak pokonano ostatecznie Szwecyę, a Dania odniosła przytem znaczne korzyści polityczne, zaczęto inaczej spoglądać na kolumnę Piotra i wkrótce weszło w zwyczaj, że każdy monarcha, przebywający w Roskilde, idąc za przykładem jej fundatora, również pozostawiał na niej swoją miarę.

W ten sposób pokryła się kolumna znakami i obecnie widzimy na niej ślady bytności następujących głów ukoronowanych: Piotr W. — 2·20, Krystyan I. — 1·93, Krystyan II. — 1·90, Jerzy ks. grecki — 1·86, cesarz Aleksander III. — 1·80,



Osobliwość katedry w Roskilde: Kolumna Piotra Wielkiego z zaznaczoną na niej miarą kilkunastu monarchów.

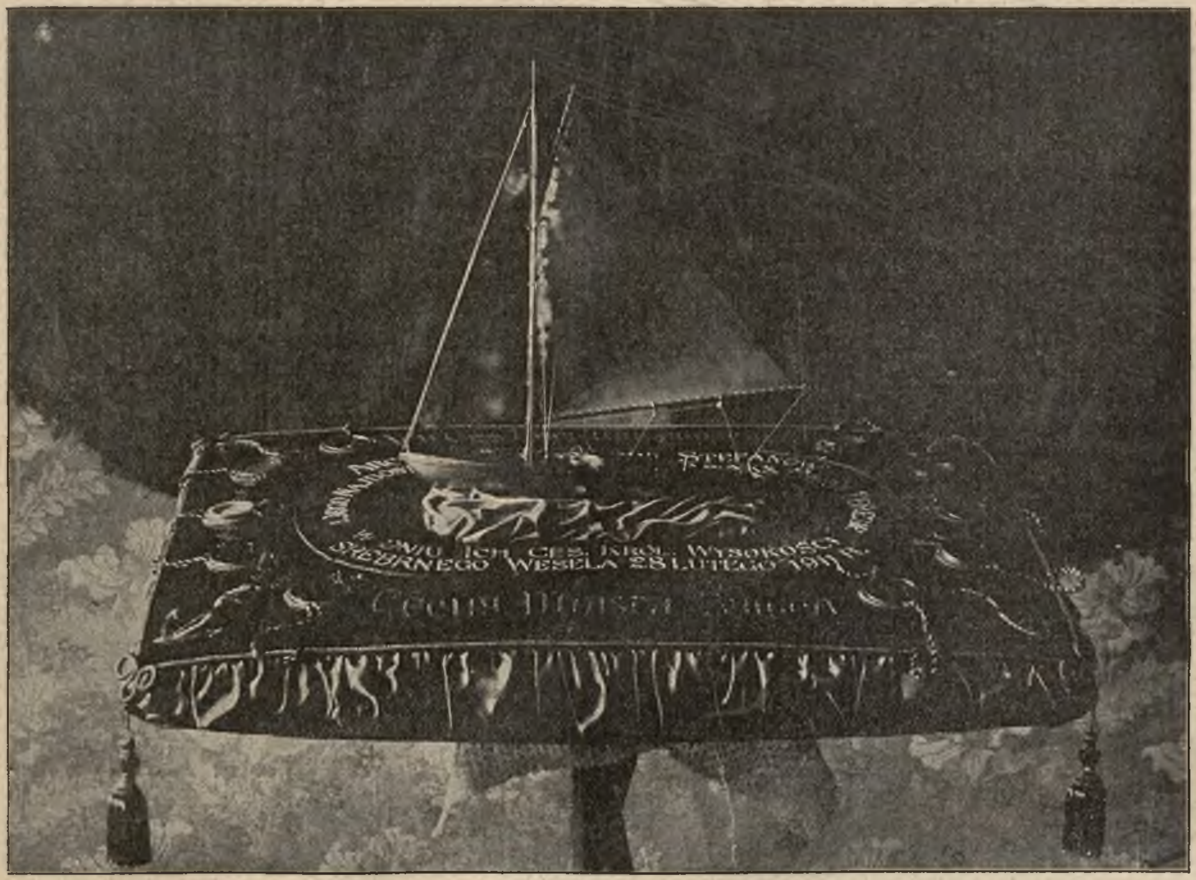
Krystyan IX. — 1·75, król Jerzy grecki — 1·72. Fryderyk VIII. — 1·72, król angielski Edward VII, 1·65, Fryderyk VII. — 1·63, Fryderyk VI. — 1·61, egzotyczny gość, król syamski Chulalongkorn — 1·58, Krystyan VII. — 1·57.

Echa srebrnych godów arcyksięstwa.

Jak wiadomo, obchodzili niedawno arcyksięstwo Karol Stefan i Marya Teresa z Zywca dwudziestą piątą rocznicę swych zaślubin. Z powodu tego jubileuszu wszystkie cechy miasta Żywca ofiarowały dostojnej parze wspaniały dar pamiątkowy a deputacya tych cechów, z inż. B. Boguckim na czele, złożyła przy tej sposobności obojgu arcyksięstwu serdeczne życzenia.

Dar cechów żywieckich przedstawia się bardzo okazale pod każdym względem. Na artystycznie wykonanej poduszce, wyobrażającej fale morskie, umieszczono model jachtu arcyksiążęcego, wykuty w srebrze; wokoło poduszki artystycznie wyhaftowany napis: „Ich cesarsko-królewskim Wysokościom arcyksięciu Karolowi Stefanowi i Jego Najdostojniejszej Małżonce arcyks. Maryi Teresie, w dniu Ich srebrnego wesela 28 lutego 1911 — Cechy miasta Żywca“.

Dar cechów żywieckich, wręczony Arcyksięstwu po ich powrocie z Wiednia, podobał się ogólnie. Zwłaszcza ucieszył się arcyksiążę Karol Stefan widokiem swego ulubionego jachtu.



Echa srebrnych godów arcyksięstwa: Poduszka z modelem jachtu arcyksięcia Karola Stefana, dar cechów m. Żywca.

Piękny dar ten zacieśni niewątpliwie jeszcze bardziej węzły życzliwego stosunku, łączącego dwór Arcyksięstwa z mieszkańcami Żywca.

Zawierucha w Meksyku.

Historya zanotowała inicyatywę Mikołaja II go w sprawie zwołania konferencyi pokojowej w Hadze. Wkrótce po tej konferencyi nastąpiła wojna rosyjsko japońska. Obecnie jednym z najwybitniejszych zwolenników powszechnego rozbrojenia jest prezydent Stanów Zjednoczonych Taft. Czyżby to było wróżbą?

Myśl ta nasuwa się każdemu, kto śledzi przebieg zatargu amerykańsko meksykańskiego. Urzędowe komunikaty brzmią wprawdzie pokojowo, mobilizacya nazywa się w nich próbną, roi się w nich od terminów, jak utrzymanie neutralności granicy, zapobieżenie przemycaniu broni i t. p., lecz fakta mówią co innego. Gdyby nagromadzenie wojsk nad granicą miało tylko charakter ćwiczeń, byłyby one już dawno cofnięte, gdyby zaś chodziło tylko o strzeżenie porządku na terytoryum, sąsiadującem z rozgorzałemi pożarem rewolucyi prowincyami meksykańskiemi, wystarczyłaby zapewne znacznie mniejsza ilość siły zbrojnej. Za wojowniczem usposobieniem Stanów przemawiają również manewry ich floty, która kręci się uparcie koło portów „zaprzyjaźnionej republiki“, a nadzwyczaj znamienne są noty dyplomatyczne, które wskazują na liczny udział Amerykanów w powstaniu przeciw rządowi Meksyku. Wyborne uzbrojenie rewolucyonistów i ich dobra organizacya pochodzą zapewne stąd, że Unia wspierała ich i wspiera potajemnie pieniądzmi i posiłkami w ludziach.

To też prezydent Diaz, który wbrew rozszerzanym pogłoskom o jego chorobie zachowuje energię i przedsiębiorczość człowieka zdrowego, oświadczył, że nie odpowiada za życie obywateli Stanów Zjednoczonych, schwytanych z bronią w ręku na terytoryum meksykańskiem. Wogóle sędziwa głowa zagrożonego przez zaborczą politykę Yankesów kraju najwidoczniej zdaje sobie dobrze sprawę z doniosłości niebezpieczeństwa i gotuje się do rozpaczliwego oporu. Być może, że w razie jego powodzenia w walce z powstańcami Ameryka uzna rozpoczęcie kroków wojennych za rzecz zbyt ryzykowną i pokój będzie utrzymany. Tem pilniej śledzą tedy dyplomaci i politycy przebieg wojny domowej w Meksyku. Na ogół wiedzie się w niej wojskom rządowym dosyć dobrze, ale odnoszone przez nie korzyści nie są tak rozstrzygające. ażeby zapowiadały prędkie stłumienie ruchawki. Zresztą surowa cenzura telegramów z pola walki utrudnia wytworzenie sobie dokładnego obrazu stanu rzeczy.



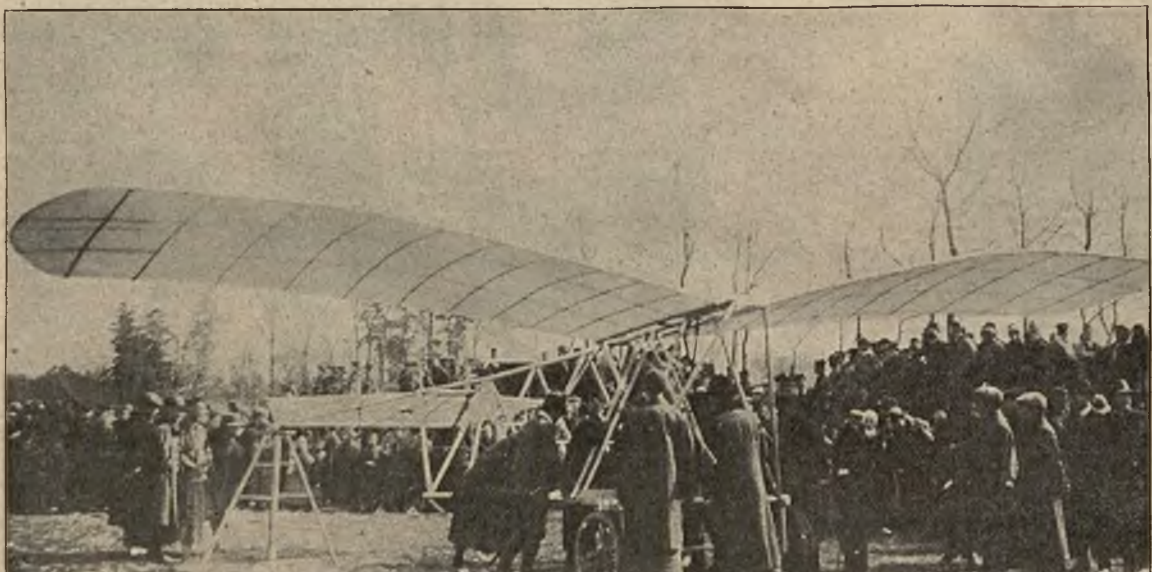
Zawierucha w Meksyku: Oddział nieregularnej kawaleryi powstańców.

Załączone illustracye przedstawiają jednego z generałów powstańczych, widok obozu rewolucyonistów i oddział ich niezbyt regularnej kawaleryi.

Pierwszy aeroplan japoński.

Japonia nie ustaje ani na chwilę w pochodzie ku coraz doskonalszemu rozwojowi i postępowi, nie daje się też na żadnem polu wyprzedzić Europie. Umie zaś nadzwyczaj sprytnie wybierać zawsze to tylko z wynalazków europejskich, co okazuje się rzeczywiście pożytecznem i dla stosunków miejscowych odpowiedniem.

Podobnie ma się obecnie rzecz z awiatyką. Widząc, że postępy w dziedzinie awiatyki są coraz wspanialsze, widząc, że aeroplany muszą w najbliższej już przyszłości odegrać niesłychanie doniosłą rolę, zwłaszcza w zakresie wojskowym, rzucili się Japończycy również na pole doświadczeń z maszynami do latania i to z maszynami nietylko obcego pomysłu, lecz projektowanemi przez własnych, japońskich wynalazców.



Pierwszy aeroplan japoński: Monoplan pomysłu barona Igi, podczas prób w pobliżu Tokio.

Pierwszym z nich, który może poszczycić się zupełnie dodatnim wynikiem, jest baron Iga, od dłuższego już czasu oddający się z niezmordowaną energią i wielką znajomością rzeczy zagadnieniom aeronautycznym. Obecnie wykonał on według swego pomysłu oryginalny monoplan. Skrzydła tej maszyny do latania mierzą po 30 angielskich stóp, wskutek czego aeroplan bar. Igi jest największym z dotychczas zbudowanych statków napowietrznych tego rodzaju.

Pierwsze próby z tym monoplanem odbyły się z końcem lutego na polach wyścigowych Ita Bashi w pobliżu Tokio a powiodły się bardzo dobrze. Aeroplan bar. Igi wzniósł się zaraz przy pierwszym wzlocie na wysokość około 6 metrów i przeleciał przestrzeń kilkuset metrów. Dalsze próby musiano odłożyć z powodu silnego wiatru, jaki się podówczas zerwał, nie ulega jednak wątpliwości, że przy pewnych zmianach i ulepszeniach japoński monoplan okaże się doskonałą maszyną do latania.

Pomnik badacza stref polarnych.

Nie dawno cały świat cywilizowany, a przedewszystkiem sfery naukowe zajmowały się rozstrzygnięciem pytania: Cook czy Peary? Ostateczny wynik licznych dyskusyi i polemik przedstawia się obecnie mniej więcej w sposób następujący: Wiemy, że Cook nie był na biegunie północnym, natomiast czy był na nim Peary, tego z całą pewnością stwierdzić nie można. W każdym razie spór ich obudził powszechne zainteresowanie i zwrócił także uwagę na liczne poprzednie ekspedycye polarne, które cechowała nadzwyczajna przedsiębiorczość i wytrwałość podróżników, a które mimo to częstokroć kończyły się tragicznie.

Jednym z najwybitniejszych badaczów duńskich był Mylius Erichsen, który wraz z dwoma towarzyszami znalazł śmierć w wyprawie do bieguna północnego. Do tych ofiar żądzy wiedzy możnaby dzisiaj — naturalnie o ile przyjmiemy za fakt osiągnięcie celu przez ekspedycyę Peary'ego — zastosować słowa poety:



Zawierucha w Meksyku: Obozowisko powstańców.

I ten szczęśliwy, co legł wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu...

Bądź co bądź zasługi podróżników, jak Mylius i inni, są stwierdzone i tem godniejsze pamięci, jeżeli przypieczętowane zostały życiem tych prawdziwych męczenników nauki. To też wystawienie Myliusowi pomnika jest tylko spłatą długu wdzięczności ze strony duńskiego narodu, wsławionego zdawna odkryciami swych nieustraszonych podróżników.

Pomnik, którego reprodukcyę podajemy, odznacza się oryginalnością pomysłu i artystycznem wykonaniem. Jest to mianowicie olbrzymia bryła granitowa, ozdobiona płaskorzeźbą, która przedstawia Myliusa i jego towarzyszy. Jeden z dzielnych badaczy, osłabiony już i chory, siedzi w ciągnionych przez reny saniach, dwaj zaś pozostali dopomagają zwierzętom w ciągnieniu sań po lodzie.

Proces kamorry.

W poprzednim numerze podaliśmy wiadomość o rozpoczęciu się olbrzymiego procesu, przeciwko członkom tajnego związku zbrodniczego, znanego we Włoszech pod nazwą kamorry. Jedna z załączonych illustracyi przedstawiała klatkę dla oskarżonych. Na



Zawierucha w Meksyku: Wódz powstańców, generał Arosco — na pierwszym planie dwaj jego żołnierze. Jeden z nich (z lewej str.) uzbrojony jest w karabin systemu Mausera z r. 1893, drugi (z prawej) w repetyer winchesterski z lat 90-tych.



Jubileusz aktora: Władysław Szymanowski.

r
ycinie w niniejszym numerze widzimy tę klatkę już zapełnioną członkami bandy.

Proces nie rozpoczął się w dniu oznaczonym, gdyż przysięgli, obawiając się zemsty kamorry i zasypywani listownemi pogróżkami jej członków, pozostających na wolności, używali najrozmaitszych wykrętów i wymówek, ażeby uchylić się od spełnienia niebezpiecznej powinności. Wówczas władze sądowe zapowiedziały użycie przeciwko nim wszelkich ustawą przewidzianych środków, ewentualnie sprowadzenie ich przemocą na miejsce rozprawy. W ten sposób rozpoczęła się ona z niewielkiem opóźnieniem i obecnie odbywa się przesłuchiwanie obwinionych. Przeciwko wszystkim podnosi prokuratorya zarzut należenia do tajnego związku o celach zbrodniczych. Nadto czterej oskarżeni są o namowę do morderstwa, spełnionego na osobie Gennara Cuocola i żony jego, zwanej „la bella Sorrentina“, sześciu o wykonanie tego morderstwa.

Widownią procesu jest sala sądowa w Viterbo, przerobiona ze starożytnego kościoła Scalzich. Klatka dla oskarżonych stoi w miejscu, pod którym pochowano niegdyś Lorenza da Viterbo, jednego z najsławniejszych malarzy prerafaelickich, twórcy wspaniałego obrazu „Slub Najśw. Panny“ W drugiej mniejszej klatce widzimy jednego z członków kamorry, Abbatemaggia, który poczynionemi zeznaniami ułatwił wielce postępowanie władzom śledczym i dzielnemu komendantowi karabinierów Capezzuto'wi, zasłużonemu najbardziej około zdemaskowania zbrodniarzy. Abbatemaggia uważają kamoryści za zdrację i dlatego pomieszczono go osobno, ażeby zabezpieczyć go przed doraźną zemstą bandy.

Trybunał ma dwu przewodniczących, ażeby w razie niedyspozycyi jednego nie musiała nastąpić przerwa w postępowaniu sądowem. Podobnie ma się rzecz z ławą przysięgłych — dwunastu zastępców jest w pogotowiu.

Przeciwko oskarżonym zeznawać ma 330 świadków, obrona powołała ich aż 600, ale z tej pokaźnej cyfry tylko 360 będzie przesłuchanych.

We Włoszech panuje ogólne przekonanie, że kamorra potężniejsza jest od „karzącej ręki sprawiedliwości“, że więc większa część zbrodniarzy zdoła jej ujść, a tylko kilku, najbardziej obciążonych zeznaniami świadków, zostanie skazanych. Słuszności tych kombinacyi dowodzi lękliwość przysięgłych, o której wspomnieliśmy powyżej.

Nie ulega wątpliwości, że kamorra wytęża wszystkie siły, ażeby ocalić swoich członków i stara się wywrzeć jak największą presyę na sędziów i na świadków. Z drugiej strony cieszą się włoskie sądy przysięgłych jak najlepszą opinią, a kamorra od długiego szeregu lat była otwartą raną w łonie społeczeństwa, które pragnie się jej pozbyć.



Zgon popularnego autora: Ś. p. Jan Galasiewicz.



Pomnik badacza stref polarnych: Płaskorzeźba na bryle granitu umieszczonej na cześć Myliusa Erichsena na jednej z ulic Kopenhagi.



Proces kamorry: Sala sądowa w Viterbo, trybunał i oskarżeni.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

21

Lecz tuż głosy zawtórzyły bezładnie:

— A bo nie! — Przecie! — Lepiej nie próbować! — Co młoda, to młoda! — Jejmościn czas minął! — Hu-hu i prezydenta oskoma nie zdejmie.

Pani Madejowa powiodła dokoła oczyma z bezsilnem wzburzeniem, jakby dla się odsieczy upatrując i naraz rzuciła się na przełaj między tłum ku aksamitnemu lampasowi artyleryjskiej furażerki.

Ciżba warknęła na rozpychanie się jejmości, bluznęła konceptami, lecz baba już furażerki dopadła.

— Mości Dziurbacki — ratuj mnie, panie Pietrze. Muszę do ogrodu, a nie puszczają!

Profos, gdyż on to był właśnie, zafrasował się, bo choć pani Madejowej, która na Starem mieście grzeczną garkuchnię trzymała, rad był po dawnej znajomości wygodzić, nie widział jednak sposobu. Baba tymczasem przystawała doń coraz mocniej.

— Uczyń że mi, panie Pietrze! Gospodarstwa odbiegłam. Trzy dni się zbierałam! Sługowaliście razem z nieboszczykiem. A pomnisz jegomość, jak żeś mi to w Sandomierzu orzechy trząsł.

Dziurbacki tłómaczył się gęsto, jako nic tu poradzić nie może, pani Madejowa upierała się, przekładała, że gdyby się naparł, to jego, wachmistrza artylerii, nie odprawią. Aż profosa udręczyło to naprzykrzanie, bo ani humoru do spierania się ze strażnikami czegoś nie miał, ani dla obrzękłej twarzy a bombiastej korpulencyi pani Madejowej w przypomnieniu mu orzechów sandomierskich determinacyi nie znajdywał.

— Nie poradzę — trza mieć konotatkę, mospanie!

— Naszą piekarkę puścili...

— Ma stryjecznego w narodowej!

— Strączkowa się władowała! Dwie Jaworszczanki! Bez niczego. Lada szargulę, co się im namizdrzy honorują... Patrz-że jegomość!... Uczciwe ludzie, niby zwierzaków pędzą a Kościołowskiej gacha, niby generała witają...

Dziurbacki, który był ku wejściu spojrzał, zatrząsł się. Do bramy ogrodowej sunął się butnie ów wolontarski oficer, co mu Antoszkę zaprzepaścił.

Profos mruknął przez zęby. Pani Madejowa po swojemu ten odzew zrozumiała.

— Jakże nie! Cydzikabym nie znała! U generała Rożnieckiego był w totumfactwie. Aż teraz wąsy zapuścił i na oficera wyrósł... Oo! Nie mówiłam! Taką akuratną konotatkę ma, że mu się do ziemi kłaniają!

Dziurbacki obruszył się.

— Co zaś waspani! Gdzie, jaki Cydzik!

— Toć powiadam! O, jak się wita za pan brat! Patryjot wielki! Rudzielec!... I poszedł!

Dziurbacki za całą odpowiedź skinął na panią Madejową i wprost do bramy ruszył.

Ciżba, na widok pani Madejowej, sunącej z godnością za profosem, ryknęła z uciechy.

— Macie ją! — Znalazła sobie! — Gdzie dyabeł nie poradzi! — Jedna więcej basetla! — Puszczą ją! — Nie puszczą! — Wiwat!

Dziurbacki podczas, nie mitrężąc z gwardzistami, obces do dowódcy imci pana Ostrowskiego się opowiedział. Gwardziści, zaskoczeni butnym meldunkiem, onieśmieleni szewronami i marsem starego żołnierza, ustąpiliby odrazu, gdyby nie pełne godności oblicze pani Madejowej.

— Obywatel-dowódzca jest przy oficerskich stołach...

— Przybywam z raportem od pułkownika artyleryi konnej Bema!

Młody podporucznik gwardzista, któremu wielkie ostrogi nogi wciąż pętały, aż pokraśniał z powagi.

— Hm! Proszę!... Z raportem, wolna droga dla wachmistrza... Ale jejmość!...

Dziurbacki wyprostował się służbisto.

— Jejmość, proszę porucznika, także należy do raportu!

Podporucznik zachłysnął się, nie mogąc się połapać, czyli wachmistrz drwi sobie zeń, czyli też istotnie przepaściste kształty pani Madejowej mają z artyleryą związek. Dziurbacki podczas wykręcił się na pięcie i zasunął w falę hulającego po ogrodzie tłumu tak, że gdy pisk ciżby przed bramą podporucznikowi zagadkę wyjaśnił, profos z towarzyszką już zniknął mu z oczu.

Dziurbacki dla pewności nie prędzej przystanął, aż zdyszana, zasapana pani Madejowa za rękaw go ucapiła.

— Rety, panie Pietrze, bo mnie zatchnie! Uf! Chyba pod drzewem sobie siędę albo co! Okrutniem wasanowi wdzięczna. Siadajże podle mnie. Już mi, panie Pietrze, nie odmówisz i na flaczki jutro przy niedzieli pozwolisz.

Dziurbacki usadowił się przy pani Madejowej i poglądał w zamyśleniu na wirujące w pobliżu pary.

— Nie ma, jak wojskowi dawnego obyczaju. Okrutniem waćpanowi wdzięczna. Jakobym cię widziała jeszcze, gdyś mi w Sandomierzu orzechy trząsł. Siła od tego czasu się zmieniło. Żeby nie wdowieństwo, grzech bym miała wyrzekać. Gospoda idzie, jeszcze z czego i wyżyć i ciułać... Okrutniem panu Piotrowi wdzięczna...

Tu pani Madejowa nasunęła się do profosa.

— Wasan, panie Pietrze, już i w Sandomierzu bardzo był nieśmiałym...

Dziurbacki, któremu łypnęły tuż przy twarzy białka szarych oczu pani Madejowej — musnął zawadyacko szczotkowatych wąsów.

— Kalkulowałem sobie, że co się odwlecze, to nie uciecze.

— Chi-chi! Ale się zestarzeje.

— I jedno i drugie. Więc porówno, mospanie.

— Pan Piotr sumiennie mi przylepny, i nie od dziś...

— Pani Aniela zawsze była mi wedle skłonności...

— A czemu to waspan tyle czasu ani się pokazał?

— Bo mi na Zapiecku o woźnym trybunalskim powiadano.

— Pewnie kulawa szewcowa jęzorem mnie oszamerowała. Choćby dla nieboszczyka z fałdą do sakramentubym nie poszła. Wasan ciągle przy artyleryi wachmistrzuje?

— Bo z harmatą snadniej, niźli z niewiastą.

— Jaki pan Piotr uszczypny!

— Z dobroci dla pani Anieli!

Pani Madejowa aż szturchnęła Dziurbackiego. Profos żwawiej jeszcze przymówił. Właścicielka gospody nie pozostała mu dłużną. Aż z przekonania tego babie skry z oczu iść zaczęły a profos, jakby mu niedość było, precz sadził zagrzewnemi słowy, a lewem okiem przymrugiwał.

Późno w noc pani Madejowa wracała z Dziurbackim z fety w Saskim Ogrodzie. Wracała zziajana, ociekająca potem, ale rozmarzona do cna.

Opatrzność sama chyba tak pięknie ułożyła wszystko dla pani Madejowej. Pan Piotr z kretesem jej się udał. Ochapiało się jej coś, że musiał być chyba o wiele starszym od nieboszczyka sierżanta artyleryi Księstwa Warszawskiego — ale były to faramuszki. Wywija, niby to dwudziestolatek, żędność taka zeń idzie, że jak w pół ją trzymał, to nizacz rzemień. I przytem galant. Z początku ciępła woda, ni sio ni to, dopiero gdy mu się przymiliła, tęgość weń weszła. I na fetę ją zawiódł i piwa dwa razy kupił i obwarzanków. I wyhasała się i ogniom napatrzyła i generałom. Jaworszczanki nosa drzeć nie będą ani czem tumanić! Profosa wielka ciekawość wzbiera do owego Cydzika, Kościołowskiej gacha. Musi mieć jakieś porachunki swoje! A cóż, wygodzi mu. I nie tem jeno mu wygodzi. Wachmistrz! Pół świata schodził. Nieboszczyk też bywał — lepiej niż za Smoleńskiem się podziewał... ale i zapodział się, bo nie wrócił. Lecz świeć Panie — po śmierci nawet czuwał nad nią, bo książę Zajączek wspomógł wdowę po swym dawnym ordynansie! Uch! taki dzień! Kaśka tam pewnie zbroiła coś. Weźmie w pysk. A co dzień to dzień. Prawda, tyli żołnierz nie za jednym fartuszkiem ganiał... Sama pomniła go w Sandomierzu, czasu austryackiego obłężenia! Nie darmo tyle konceptów ma o marmuzelach, gładyszkach, ciepieluszkach przeróżnych... Ta skubła i tamta skubała! Że licho co zostało. Ale przecież i ona też zakonnicą nie była. — Kaśka weźmie w pysk. — Ale nie ze złego, aby z humorów, co ją dręczyły po samotności. — Mrzygłodek trybunalski wyjadał się, wygrzewał przez dwa roki! Drapaka go nie minie. A co kulawej szewcowej nie daruje, żeby nie wiem... Niech jęzorem uczciwej wdowie sławy nie psowa. Na mszę dla pewności da u Pijarów. A flaczki zastawi w izdebce u siebie. Ma się żenić to zaraz, mitrężyć nie ma czego z sakramentem, na konkury czasu szkoda.

Nazajutrz atoli panią Madejową naszły refleksye, czyli wachmistrz istotnie przedstawia dla niej partyę, czyli stateczne ma inklinacye i czyli nie należałoby z woźnym trybunalskim politycznej uczynić. A że do tych refleksyi pani Madejowej przyplątał się i ból w krzyżach i uczucie jakowegoś utrzęsienia po tanach, więc bez szczególniejszego zapału gotowała się do odwiedzin Dziurbackiego.

Aliści, kiedy na południe wachmistrz ukazał się na progu gospody — pani Madejowa niemal stękněła z sentymentu, który ją pod sercem kolnął. Dziurbacki był zestrojony, wymuskany, wygolony, że łuna odeń biła. Krótkie, szczotkowate, strzyżone wąsy aż ociekały z czernidła, wyłogi aksamitne na piersiach, na wyłogach krzyż wojskowy, przy czarnoniebieskiej wstążeczce, mina gęsta a co pałasz i ostrogi, takiego pełne brzęku i szczęku, że panią Madejową ciarki przebiegać zaczęły.

Dopieroż kiedy wachmistrz się rozsiadł w izdebce a zagadał żwawo a przystojnie, wówczas dopiero pani Madejowa do reszty dla woźnego trybunalskiego straciła powolność. Bo gdzie tamtemu, aby miskę pokazać a flaszę, to już wachluje do białego dna, jakby nie jadł trzy dni — a siwuchę chla, niby wodę, że trzeba mu półkwaterek wyrywać. A po najedzeniu się, zaprze się i przewraca gałami i ziewa. Wachmistrz zaś zgoła pańskie ma pomiarkowanie. Co dwa razy grzebnie łyżką, to zastanowi się i zaproszenia czeka. Do wódki przytem wcale nie skory. Przepił raz, przepił drugi — i koniec, nietrunkowy i tak, że pani Madejowa, która nawykła suciej gasić pragnienie — musiała do izby gościnnej pozoru szukać i tam w skrytości miary swej dojść, aby wachmistrz za pijaczkę jej nie miał.

I panią Madejową zgoła miękkość nachodzi. Ciągnie głosem, przechyla się ku Dziurbackiemu i wymawia mu pieszczotliwie.

— Że też pan „Pietrz" wcześniej nie pamiętał, że też pan „Pietrzuś" wtenczas, kiedy to w zeszłym roku na Święto-Jańskiej się napotkali...

A potem prawi znów a wykłada, że garkuchnia miesiąc w miesiąc czystego sto złotych przynosi a w zapusty, kiedy to pani Madejowa swoje sławne pączki smarzy, to za jeden dzień i po czterysta złotych targuje — że płótna wszelkiego i odzienia ma całkie dwie skrzynie a pierścionków cztery i koralową broszę — że gdyby wypadło, to możnaby drugą izdebkę przynająć, bo właśnie sąsiadowi krawcowi żona umarła, więc ma jedną stancyę za wiele, bo i żeni się ze zdunówną i przy rodzicach jej będzie mieszkał.

Gdy zaś pani Madejowa spojrzy na marsowe oblicze wachmistrza lub gdy ten szurgnie nogą a ostrogą zadzwoni, to wnet zamaszysta wdowa od tych planów i napomknień na przyszłość do miękkości wraca i szeleści krochmalonemi spódnicami i zagaduje czule.

— A może, panie Pietrzusiu, wódki pachnącej, a może kawy z mlekiem — a może czegoś „jenszego"?

I pani Madejowa ze słodkiem drżeniem serca postrzega, że wachmistrz już się czegoś frasuje, już niepokoi — ach, bo juźci patrzy weń, niby w źródlane przezrocza, wskroś go sobie ogląda i raduje się — niezgorzej wdowia dola się układa.

Dziurbacki tymczasem cale innemi chodził drogami. Prawda, że i wdzięczenie się doń baby nie było mu obojętnem. Cóż, pojedynkiem chodził, żywego ducha rodzonego nie miał, krom chyba tamtej smarkuli-niewdzięcznicy i Olesiowej-kumki, co mu do reszty i na ciele i na rozumie martwieje. I profosowi ochapiało się, że snadniejby może z kobietą i cale niezgorzej byłoby z Madejową. Niewiasta dorodna, zabiegliwa. Kto, wie, — jeno żeby tak ślepiami nie łyskała i zębów nie szczerzyła! Ale w tej chwili profos nie o to się turbował i nie na strojenie koperczaków przybył w odwiedziny i nie dla zalecanek z Madejową do północka wczoraj zmarudził, lecz dla turbacyi własnej, która mu codzień więcej doskwierała.

Dziurbacki szukał precz Antoszki cyganichy i szukał wbrew swemu pojęciu, które mu powiadało, że nicpotem-włóczęga nie warta jest nawet wspomnienia, że dobrodziejkę swoją pokrzywdziła, że szpiegowską krwią nasiąkła i że takie robactwo zawżdy do gniazda trafi, że grzech prawdziwy o niem myśleć. I gdy profos już za tem przekonaniem iść zamierzał, gdy wyżenął wszelkie o znajdzie wspomnienie, ta jawiła mu się raptem i poglądała ku niemu tak smutnie, tak łzawo, że Dziurbacki miejsca sobie znaleść nie mógł i wreszcie znów snuł się po ulicach, zaułkach, kątach zapadłych Warszawy, czyli gdzie na ślad cyganiątka nie wpadnie.

Z początku zdało się wachmistrzowi, że owe papiery, co je w mieszku cygańskim nalazł, a które pułkownikowi doręczył, naprowadzą go na trop, bo cały ratusz do poszukiwań zniewolą. Ale z odprawy, którą od Bema wziął, wynikła dlań wątpliwość, bo tyla dokazał, że mu pułkownik nawet mięszać się do rzeczy nie pozwolił, jakby nie o smarkulę szło! I ani weź powiedzieć nie chciał profosowi, dokąd Antoszkę zawiódł ów kompan pułkownika. Lecz Dziurbacki wziął na kieł. Dzień cały przewałęsał

po mieście — aż kiedy to chmara pojazdów z parady na Pradze wracała, dostrzegł znaną mu dobrze bryczkę, sprzęgniętą w srokacza z wysiapanym ogonem i cisawą kobyłę białonóżkę. I tak zwinnie za nią pomknął, że dotarł aż do kamieniczki, przed którą bryka się zatrzymała i do której wszedł był ów woluntarski oficer. Profos nie posiadał się z ukontentowania, teraz bowiem należało zasadzić się, dociec, co zacz i wypatrzyć. Na ten koniec, dla chwycenia języka do pobliskiej winiarni zaszedł i tu w gawędę się wdał z gospodarzem. Aliści z miejsca cały gmach kalkulacyi Dziurbackiego poszedł w gruzy. Gospodarz bowiem na pierwsze słowo odparł z przekonaniem:

— Niby ten pułkownik, co tam jego bryczka?! Godny obywatel. A jakże! W kamieniczce pana ministra Lelewela mieszka i z nim samym w znajomości, a jakże. Pułkownik Sikorski! Rzetelny obywatel! Generały u niego, personaty, państwo! Maślacza dwa razy u mnie po baryłce. Sprawiedliwy pan i „żołmierz“ duży! Siła, mówią, nawojował Kozaków. Ze trzy bitwy ponoś wygrał albo i lepiej. Dziewczyniny? U pana Sikorskiego? Skąd zaś! Dwóch pachołków aby z nim, bo resztę służby wolnością darował.

Dziurbacki stracił kontenans, lecz zmógł się i jeszcze na rozpytki dotarł do siodlarza, co w tej samej kamieniczce warsztat trzymał i do przekupki, co kramik tuż pod murem miała i do dworku sąsiedniego się zamówił, kędy była stancyjka z wiktem do najęcia. Lecz i tu i tam odebrał relacye tak gorące, tak pełne zachowania, że się siebie samego zawstydził i stuliwszy uszy, powlókł się ku domowi.

I profosa znów wątpienie naszło, czyli nań uroku nie rzucono. Boć teraz oczywiście się przekonał, że nie żaden raptus podejrzany smarkulę zaprzepścił, lecz przednich zasług partyzant, czyli że przybłęda prawdziwie, niby żmija miłosierną rękę ukąsiła i czmychnęła między padalce.

Wówczas to, zwabiony ćmą luda, która na fetę do Saskiego Ogrodu szła, dla myśli rozerwania za nią podążył i tam wpadł na panią Madejową i na historyę o Cydziku, gachu Kościołowskiej. Od tej nowiny profosowi aż serce poskoczyło z uciechy. Ozłociłby panią Madejową. Stąd taki weń impet wstąpił i taka dla wdowich zachcianek powolność. Jakoż baba siła plotek o Cydziku mu rozpowiedziała. Ale Dziurbacki zważał, że co innego kobiece pytlowanie, a co innego rzecz. Madejowa bożyła się, hm, lecz pewności brakło. Jakżeby taki Cydzik mógł personata i pana całą gębą udawać?

Lecz Madejowa ręczyła i deklarowała się całą prawdę mu dobyć i w jednym dniu. Dziurbacki więc skwapliwie zaproszenie wdowy przyjął. Jednak by jeszcze tężej do rozmotania sprawy się przyczynić, wybrał się w czas, rano, na Podwale, do pułkownika, ułożywszy sobie zgrabnie, jak mu należy zacząć, a jak napomknąć o wieściach, które o Sikorskim chodzą. Na Podwalu powiedziano wachmistrzowi, że pułkownik jeszcze na noc do obozu ruszył. Profos skonfundował się, bo w obozie do pułkownika zawsze był trudniejszy dostęp i bo taki odjazd nocny zapowiadał niechybnie wymarsz, do którego Dziurbacki nie miał tym razem ochoty. Ale, po namyśle powędrował na Pragę i daremnie, bo bateryi już nie było, wyciągnęła o świcie do Wiązowny, pozostawiając kilkunastu koniuchów z ogniomistrzem, wózkami i porucznikiem Łabanowskim.

Profos dowiedział się od ogniomistrza, że porucznik czeka aby na wydanie amunicyjów z arsenału i maruderów zbiera i że niechybnie w cztery dni takoż wyciągnie. Zresztą o więcej i pytać nie chciał, bo go strach obleciał, żeby porucznikowi w oczy nie wleść... Tymczasem kiedy cale nieznacznie sunął ku bramie z dziedzińca koszarowego — z za węgła wysunął się porucznik i do wachmistrza.

Dziurbackiemu język się splątał z pomięszania, bo jakże tu od służby, od bitwy się wymigać, kiedy wachmistrzowską piastuje rangę a własne nogi całego go noszą? A przecież, jeżeli pójdzie, to niechybnie znajda przepadnie, przepadnie na zawsze.

Tą trwogą przejęty Dziurbacki jął co tchu się sumitować porucznikowi, na kontuzyę narzekać a łgać niby rekrut, smyk, nowozaciężnik na uczynku przyłapany.

Lecz porucznik Łabanowski ani myślał profosa gwałtować.

— Nie turbuj się, wachmistrzu. Pułkownik sam zważał, że waspanowi bardziej do weterańskich wczasów niż do pochodu...

Dziurbackiego coś kolnęło, porucznik skinął mu przyjaźnie.

— Stary jesteś, zmęczony...

— Jeszcze mospanie...

— Tie-tie! Rozumiem i chwalę profosowi dobre zamysły. Ale baterya da sobie radę i bez wasana. Pułkownik sam nawet wspominał, żeby cię należało zreformować z pełnym żołdem i na spokojnym chlebie przy magazynach osadzić.

Dziurbackim złość zatrzęsła na to oczywiste poczytywanie go za niedołęgę. Porucznik nie baczył. Jurną odpowiedź profosa za poczciwy zapał wziął.

— No, no, Dziurbasiu, czas aby twoi wnukowie się bijali. Waspanowa pora minęła.



Ogromniem waszmości wdzięczna. Siadajcie podle mnie.

— Nie minęła, proszę porucznika! A jak... jak pułkownik sobie nie życzy...

— Bajesz. Pułkownik z uwagi tylko. Przytem i tak zwolnić cię musiał, bo audytor dywizyi wzywa cię na świadki i to w pilnej sprawie, bo na dziś jeszcze. — Pułkownik mówił, że wiesz, o co chodzi...

Wachmistrz na tę wiadomość zmiękł i już nie spierając się, wziął ordynans czuwania nad koszarami i zbierania maruderów, ile że Łabanowski spodziewał się wyciągnąć z amunicyami już pojutrze, i bez mitręgi biedką żydowską do Warszawy odjechał. Tu wpadł na Zapiecek, wdział paradny mundur i na Żoliborz do kancelaryi audytora poszedł.

Audytor dywizyi, którym był kapitan Fiszer, pilnie jął badać Dziurbackiego a dociekać szczegółowo, gdzie i jak papiery owe znalazł. Wachmistrz aż spotniał, bo mu najtrudniej właśnie było wybrnąć gładko z pierwszego łgarstwa, którego się dopuścił, że dziewczyna miała je w łachmanach zaszyte i że w mieszku nie same tylko były papiery. Ale myśl, iż w razie gdyby przyznał, jako trafił na mieszek, bobrując w wozie markietana — nikt by się o los Antoszki nie turbował i nikt by jej nie szukał — dodała mu rezonu.

Audytor słuchał cierpliwie a pisał tak siarczyście, że Dziurbackiemu serce rosło. Lecz, gdy profos już wszystko opowiedział, audytor zaczął go pytać, kiedy pułkownikowi dał papiery, o której porze, czy nie wie, dokąd pułkownik po odprawieniu wachmistrza się udał, co doń mówił — i wogóle o tyle dziwnych rzeczy zagadywać, że profos wytrzymać dłużej nie mógł.

— Bo to, proszę pana audytora, najważniejsze, żeby się smarkula znalazła...

Kapitan się uśmiechnął.

— Mniemasz, najważniejsze...

— A tak — bo żeby pan pułkownik nie bronił mi smarkuli, nie kazał jej raptem jechać...

— Z imć panem Sikorskim?

— Akuratnie — to jużbym ja od niej, co należy, wydobył. Przytulne było stworzenie i łagodnego obejścia. Ani wiedziało biedactwo, co jej tam w gałgany zaszyto. Lecz pan pułkownik ani, ani, mospanie. Na poniewierkę jej nie dam, mówi. Tylemu stworzeniu trza kobiecej ręki nie kordegardy. Ledwiem co odrzekł — smarkuli już nie było.

Kapitan Fiszer poprawił się na fotelu.

— Więc pułkownik Bem, zgoła niespodziewanie, już słysząc o zamiarach waspana, żeś rad był się zaopiekować dzieckiem...

— Jako żywo, panie audytorze!

— Hm! A nie przypominasz sobie wachmistrz, czyli pułkownik nie zapytywał cię, co stało się z odzieniem dziewczyny?

— Juści, mospanie. — A cóżeś — powiada — smarkulę na huzara wystroił — a ja mu — bo dla opatrzenia musiałem szmaty na niej pochlastać i precz wyrzucić...

Audytor z tego znów całą litanię zapytań wysnuł. Profos wytrzymał je niecierpliwie, choć pojąć nie mógł, czemu kapitan precz o pułkownika go napiera. Aż kiedy audytor skinął na Dziurbackiego, zapowiadając mu, że trzeba, aby nazajutrz znów się stawił — profos przymówił się nieśmiało.

— Żeby jeno małej dopaść.

— Uczyni się, co należy.

— Bo, nie chwaląc się, gdybym wiedział, dokąd ów oficer zawiózł smerdę...

— Na Święto-Jerską, do dworku kapitanowej Marchockiej. Przecież pułkownik musiał wam mówić!

— Gdzie zaś!

— A więc tak dalece! — No, no, postrzegam, że ci, wachmistrzu, bardzo idzie o tę małą. Bądź spokojny, z pod ziemi jej dobędziemy. Bo to ważna sprawa, bardzo ważna. Jeno trzeba, byś się skupił. Każdy drobiazg niesłychane ma znaczenie. Od twego świadectwa zależy wszystko...

Dziurbacki od audytora wyszedł rozpromieniony. Teraz wątpliwości nie było, że sprawiedliwość upomni się o Antoszkę, no i teraz jemu samemu żwawiej pójdzie, skoro wie, dokąd dziewczynina oddana. Ba, a jeżeli przez Madejową owego Cydzika wytropi — to już aby o swoje się upomnieć.

I dlatego profos tyla jeno na wynurzenia pani Madejowej zważał a tyla jej się zalecał, aby babę w życzliwości dla się utrzymać i co trzeba, przez nią dobyć. Aż upatrzywszy moment sposobny, ukuł na poczekaniu historyę o jakowemś ukrzywdzeniu, którego właśnie od rzekomego pułkownika, co gachem Kościołowskiej był, zaznał i którego dochodzić musi.

Pani Madejowa spojrzała na profosa z wymówką.

— Także to pan Pietrzuś lekce sobie bierze moją pamięć?

— Skąd zaś, mospanie!

— A tak, bo komum sercem rada, temu czem chcieć wygodzę. Zabaczyła! Jakżebym zabaczyła! Tedy mam dla waspana wszystko, co ci potrza.

— Toż mnie prawdziwie jejmość ujęła.

— Więc się jegomość ustąp krzynkę, bo mi około pana Pietrza na skrzyni zręczniej...

Pani Madejowa przysiadła się do wachmistrza, krochmalonych spódnic poprawiła i zabębniła nogami po skrzyni.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dzień kobiet.

Dzień patrona oblubieńców, dzień św. Józefa, obrały sobie kobiety postępowe w Austryi i innych państwach, aby urządzić demonstracyjne zgromadzenia i pochody na rzecz równouprawnienia politycznego swojej płci i rozszerzenia na kobiety prawa wyborczego do parlamentu, sejmu i gminy.

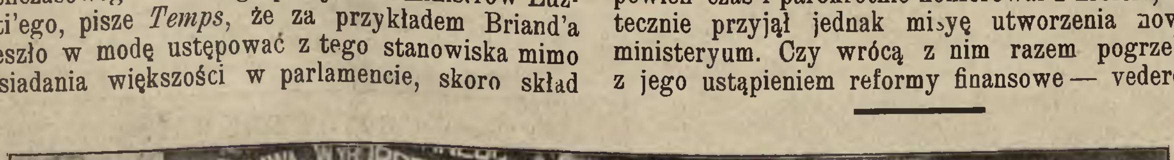
Oczywista rzecz, że i krakowskie sufrażystki nie pozostały w tyle za kobietami innych miast. Urządziły więc wielkie zgromadzenie w ujeżdżalni przy ul. Rajskiej, poczem pomaszerowały pochodem przez miasto, ul. Karmelicką, Dunajewskiego, Basztową, Sławkowską, Rynkiem i Grodzką pod magistrat, gdzie odłączyła się deputacya niewiast z posłem Daszyńskim na czele, aby prezydentowi dr. Leowi wręczyć memoryał z postulatami kobiet, reszta zaś podążyła dalej ul. Bracką do Rynku i pod pomnikiem Mickiewicza po wysłuchaniu dwóch przemówień i sprawozdaniu z posłuchania u prezydenta miasta, rozeszła się w spokoju do domów. Pochód niewiast, do których przyłączyło się wielu mężczyzn oraz orkiestra kolejarzy, wywołał w całem mieście wielką sensacyę.

Podobne manifestacye odbyły się w innych miastach galicyjskich, w szczególności we Lwowie, odbyły się też w Wiedniu, Berlinie, Hamburgu i t. d.

Z manifestacyi tych zamieszczamy parę zdjęć z Krakowa i Wiednia.



Dzień kobiet: Pochód demonstracyjny postępowych kobiet krakowskich.



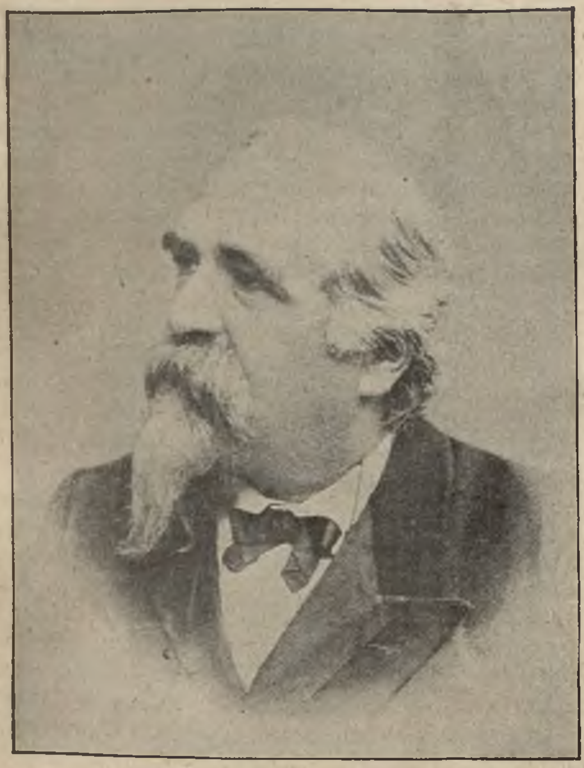
Dzień kobiet: Delegacya kobiet z p. Daszyńskim (X) na czele pochodu

Zmiana gabinetu we Włoszech.

Omawiając we wstępnym artykule dymisyę dotychczasowego włoskiego prezydenta ministrów Luzzati'ego, pisze *Temps*, że za przykładem Briand'a weszło w modę ustępować z tego stanowiska mimo posiadania większości w parlamencie, skoro skład tej większości nie zadowala premiera. Rzeczywiście opozycya przeciwko Luzzati'emu wynosiła tylko 70 posłów, ale w liczbie tej znajdowały się najwybitniejsze jednostki i właśnie dawni przyjaciele polityczni prezydenta gabinetu, a przeprowadzenie reformy wyborczej, a więc najważniejszego zadania, jakiego podjął się on, obejmując rządy, natrafiało na poważne trudności. Projekt Luzzati'ego był bardzo liberalny, posuwał się bowiem aż do przymusu wyborczego, co nie podobało się skrajnej lewicy, mimo więc znacznej większości, jaka się za nim oświadczyła, uznał kierownik gabinetu za stosowne ustąpić.

Ludwik Luzzati stał u steru nawy państwowej Włoch od kwietnia zeszłego roku. Następcą jego będzie Giolitti, który powraca na porzucone przed rokiem i trzema niespełna miesiącami stanowisko. Powodem jego ustąpienia było wówczas niezadowolenie z jego projektu reformy podatkowej, zredagowanego w tym duchu, ażeby ulżyć ciężarów sferom uboższym, natomiast przenieść te ciężary na ludzi bogatszych. Łatwo się domyślić, że kto występuje z podobnemi ustawami, jedna sobie sympatyę szerokich mas, ale naraża się na nienawiść klas najwyższych i nie może liczyć na ich poparcie. To też Giolitti wkrótce po tym projekcie skorzystał z pierwszego lepszego pozoru — była nim kwestya rozdziału subwencyi między towarzystwa żeglugi — i podał się do dymisyi.

Przez dłuższy czas trzymał się potem zdala od życia publicznego, odpoczywając po trudach wysokiego swego stanowiska i ratując nadwątlone nimi zdrowie. Dopiero w ostatnich dniach przypomniał się świetną mową wygłoszoną w parlamencie. Wywołała ona powszechne zadowolenie i dawni zwolennicy zaczęli znów garnąć się do Giolittiego. To też gdy rozeszła się wieść o dymisyi gabinetu Luzzati'ego, odrazu uznano go w kołach politycznych i w prasie za jego następcę. Giolitti wahał się przez pewien czas i parokrotnie konferował z królem, ostatecznie przyjął jednak misyę utworzenia nowego ministeryum. Czy wrócą z nim razem pogrzebane z jego ustąpieniem reformy finansowe — vederemo.



Zmiana gabinetu we Włoszech: Lodovico Luzzati, ustępujący premier.



Zmiana gabinetu we Włoszech: Giovanni Giolitti,

Zgon popularnego autora.

(Do illustracyi na str. 10).

Szczupły zastęp pisarzów dramatycznych polskich, poświęcających swe zdolności i swe pióro przedewszystkiem sztukom z życia ludu wiejskiego, znowu się zmniejszył, przez zgon jednego z najzasłużeńszych i najwybitniejszych, Jana Galasiewicza.

S. p. Galasiewicz, właściwie Galos, pochodził z rodziny włościańskiej. Urodził się 1849 r. we wsi Przegini Duchowskiej w Krakowskiem, uczęszczał do szkół w Krakowie, poczem jako dwudziestoletni młodzieniec wstąpił do teatru poznańskiego, gdzie jako aktor pracował przez sześć lat. Przeniósł się potem na scenę krakowską, a wreszcie 1880 r. do Warszawy, gdzie występował przeważnie w rolach ludowych. Około 1890 r. zaczął zapadać na zdrowiu, musiał się poddać amputacyi nogi, a w następstwie porzucić scenę. Z tem większym zapałem i gorliwością poświęcił się pracy pisarskiej.

Utwory dramatyczne Galasiewicza cechuje wielka znajomość życia i zwyczajów ludu, nadto bardzo zręczna robota sceniczna. Do najpopularniejszych należy „Czartowska ława“, grana po raz pierwszy w Krakowie 1880 r., następnie w Warszawie, we Lwowie i na innych scenach, ostatnio w krakowskim teatrze ludowym, wszędzie z dużem powodzeniem.

Z innych sztuk Galasiewicza na wzmiankę zasługują: dramat „Wspólne winy“, „Chata za wsią“, „Aby handel szedł“, „Ciarachy“ i inne. Drukował też obrazki z życia wiejskiego, między innymi „Wiejski światek“.

Jako aktor odznaczał się ś. p. Galasiewicz swobodnym, naturalnym humorem, przez wiele lat był najlepszym na scenach polskich odtwórcą typów chłopskich. Cieszył się ogólną sympatyą, jako człowiek wielce uprzejmy, uczynny i koleżański.

Kronika tygodniowa.

Przypominają sobie czytelnicy, że przed tygodniem na tem samem miejscu udzieliłem pochwały urzędnikom ze „Związku ekonomicznego“ za to, że postanowili mieć własną wolę i przy wyborach do Rady miasta stanąć na gruncie bezpartyjnym. Nam (mówili bardzo rozsądnie) nie trzeba w radzie polityków, ale dobrych gospodarzy. Więc zaprosili przedstawicieli rozmaitych dykasteryi i utworzyli wielki komitet, który miał radzić nad tem, komu mandaty powierzyć z kuryi inteligencyi. Ogromny strach padł na dotychczasowych tej kuryi arendarzy, przywłaszczających sobie nazwę przedstawicieli polskiej demokracyi. Panowie ci nigdy nie troszczyli się o wolę wyborców, nigdy ich o zdanie nie pytali, a tylko zbierali się w kilkunastu (licząc już w to „polską“ demokracyę z Kazimierza), układali listę kandydatów, z uwzględnieniem przedewszystkiem samych siebie, i kazali tak zwanej inteligencyi na tę listę głosować. A inteligentna inteligencya ten rozkaz potulnie spełniała. Więc też „bunt“ obecny zadziwił i przestraszył. Wytoczono na buntowników dziennikarskie działa *N. Reformy* i posłano na zebranie urzędników oddział lekkiej kawaleryi, pod wodzą prof. Wasunga, aby nauczył buntowników rozumu. Zarządzenia te jednak nie przyniosły rebellantom żadnej szkody. Natomiast rebellanci sami sobie zaszkodzili, bo walcząc przeciw stronnictwom w radzie miejskiej, wysunęli na pierwszy plan kastowość. W chwili kiedy panuje ogólne dążenie do zniesienia kuryi, członkowie komitetu urzędniczego chcieli jeszcze z kuryi inteligencyi wyodrębnić kuryę urzędniczą. Postanowili stworzyć w radzie klub urzędniczy i wybierać z łona inteligencyi samych urzędników. Doprowadzili wreszcie do tej śmieszności, że mieli wybierać nie najlepszych z pośród siebie, nie najlepiej ukwalifikowanych na gospodarzy miasta, ale każdej dykasteryi urzędniczej postanowili przyznać po mandacie. Zapomnieli zupełnie, że należą do inteligencyi, że ta inteligencya składa się zarówno z lekarzy jak urzędników podatkowych, adwokatów, jak urzędników kolejowych, inżynierów jak sędziów i t. d., i że z pośród niej należy wybrać najodpowiedniejszych **obywateli**, bez względu na to, czy leczą na wodną puchlinę, czy sądzą lub bronią złodziejów, czy łupią ludzi ze skóry podatkami, czy piszą artykuły lub recepisy, czy uczą łaciny lub służby kolejowej, czy budują kamienice lub wystawiają police. Takie zaściankowe postawienie sprawy, taka chęć wprowadzenia rozdziału między inteligencyą urzędniczą a wolnych zawodów, taki wybryk kastowości w społeczeństwie, którego obowiązkiem jest zacieranie szkodliwych różnic kastowych, musiano przyjąć niesympatycznie w tych sferach urzędniczych, które szerzej pojmują prawo obywatelskie, przyznające im udział w wyborach do rady miejskiej.

Komitet urzędniczy poczuł, że szanse jego są niepewne. Jak naprzód t. zw. demokratów, tak teraz i jego z kolei ogarnęła trwoga, zwłaszcza że demokraci mają żydów za sobą. I wyszło szydło z worka: pokazało się, że panom inicyatorom szło głównie o to, aby sami weszli do rady. Nastąpił kompromis... zasad. Komitet demokratyczny wspólnie z komitetem urzędniczym układa listę, wejdzie do rady część tych, co nie chcieli opuszczać żłobu i część tych, co do niego dostać się pragnęli. Demokraci już się nie gorszą kastowością, pozwalają urzędnikom „związkowym“ utworzyć w radzie klub urzędniczy; a panowie związkowi już nie głoszą bezpartyjności, pozwalają swym członkom należeć do stronnictwa demokratycznego. Bo ani jednym ani drugim o rzecz nie chodziło, tylko o osoby. Zasady wyrzucono za drzwi: posady stały się wspólnym ideałem. Odegrano jedną więcej farsę polityczną, po której pozostał... smrodzik. Nic dziwnego: nasza miejska polityka, to jedna wielka farsa, która zawsze nie pachnie.

Nie na farsę wprawdzie, ale na komedyę wygląda sprawa mundurów w szkołach średnich. Kiedy je zaprowadzono, ciała nauczycielskie i „rodzicielskie“ prawie jak „jeden mąż“ witały z entuzyazmem tę akcyę ochronną. Młodzież w mundurach, mówiono, będzie musiała zachowywać się przyzwoicie, nie będzie włóczyła się po szynkach i knajpach, co więcej mundury te zaprowadzą równość między młodzieżą: czy hrabicz, czy syn robotnika, będą jednakowo wyglądali, pierwszy nie będzie imponował eleganckim ubiorem, drugi nie będzie się wstydził wytartego surduta i łatanych inexprimabli. Ale doświadczenie rozwiało te marzenia i dziś też same „ciała“ nauczycielskie i rodzicielskie są zdania, że tylko ziemniaki są dobre w mundurach. Bo mundury nie krępują młodzieży, owszem popisuje się w nich nieraz swą „dojrzałością“, zaczepiając kobiety i podlotki, puszczając na ulicy dym z papierosów w nos „starszych“, odwiedzając szynki i inne „instytucye“ publiczne, nie wyłączając tych, co noszą nazwę „zakładów publicznych“. A i owa równość pokazała się w praktyce złudzeniem. Biedak chodzi w wyszarzanej kurtce, z małymi paskami na niskim kołnierzu, a „jaśni panowie“ noszą eleganckie mundurki z półmetrowym kołnierzem, z grubymi na palec galonkami, w czapkach w kształcie wysokiego skopka; każdy z nich wygląda jeżeli nie na pułkownika, to przynajmniej na „oberleutnanta“. A więc brzmi teraz hasło: precz z mundurkami! Nie stając w ich obronie, godzi się jednak zapytać: co mogą zyskać obyczaje młodzieży na zniesieniu mundurków? Nie krępują dostatecznie, to prawda, ależ ubranie „cywilne“ jeszcze mniej krępować będzie. A co do „równości“, to byłaby na nią rada: pilnować ściśle oznaczonych form ubrania, jak jest w wojsku.

A kiedy wspomniałem już o farsie i komedyi, to i dramatowi miejsce się w kronice należy. A czyż może być większy dramat, jak pozbawienie kobiet prawa głosu przy wyborach do parlamentu, sejmu i gminy? Mają one w swych główkach, czy też (jak kto woli) na swych języczkach, tyle projektów uszczęśliwienia ludzkości, a tu ani rusz! — tyrani zamykają przed niemi drzwi przybytków wymowy. Otóż, ażeby owe podwoje otworzyć, 19 marca odbyły się pod protektoratem czerwonego sztandaru wiece i pochody w różnych miastach Austryi. A ponieważ jeden duch ożywia wszystkie ludy austryackie, więc też Lwów i Kraków, jako czysto austryackie miasta, poszły za rozkazem swej metropolii, Wiednia. Zdaje się, że dzień 19 marca został wybrany do tej manifestacyi jako dzień patrona małżeństw, instytucyi wprawdzie już przestarzałej, ale i przez mniej uświadomione socyalistki mile dotychczas widzianej. Przypuszczam nawet, że każda prawie socyalistka, mając prawo wyboru między otrzymaniem męża a prawa wyboru, wolałaby nabycie praw żony, niż praw wyborczych.

Po tej nawiasowej uwadze powracam do 19 marca w Krakowie. Co mówiono na wiecu, doniosły dzienniki; z tego samego źródła dowiedzieli się już czytelnicy, że reprezentacya płci pięknej, z posłem Daszyńskim na czele (pfe! mężczyzna) była u p. prezydenta, że wreszcie biedny Mickiewicz musiał wysłuchać jeszcze kilku przemówień. Kronikarz doda od siebie, że z owego tysiąca kobiet („tysiąc walecznych“), jakie miały postępować w pochodzie, można było przekonać się, że prawa wyboru najwięcej domagają się „kobiety“, liczące od 8 do 16 lat życia, takie bowiem przeważnie brały udział w tym spacerze. Nie można również zamilczeć, że kandydatki na posłów i rajców nie odznaczały się urodą — zaledwie mały ich procent zadowoliłby przeciętne wymagania płci brzydkiej. Że od tej manifestacyi zupełnie się prawie odsunęły sufrażystki ze sfer inteligentnych, przyczyna tkwi zapewne w formie samej manifestacyi i w jej aranżerach. Jak było we Lwowie, nie wiem, ale jeżeli się zważy, że w tym grodzie (cytuję telegram) „obrady zagaiła pani dr. Reizes, przewodniczącą wybrano panią dr. Perlmutter, referat wygłosiła p. dr. Gumplowiczowa, imieniem ruskich kobiet p. Ogrodnikowa, a do rezolucyi przyłączyły się: reprezentantka akademickiej Ligi wolnej miłości (tak stoi w telegramie *Gazety Poniedziałkowej*), reprezentantka studentek postępowych i reprezentantka żydowskich robotnic, p. Arnoldówna“ — jeżeli to się zważy, to jedynie dziwić się należy, iż w tak dobranem towarzystwie mogła się znaleść przedstawicielka studentek-Polek (!) p. Markiewiczówna.

Kronikarz zastrzega się, aby go nie uważano za zdecydowanego przeciwnika praw wyborczych kobiety. Może większy pożytek byłby n. p. w Kole polskiem z pań: Paduchowej, Szajerowej, Szponderowej (co prawda, nie wiem, czy dwie pierwsze istnieją, a ostatniej niema na pewno), niż z pp. Paducha, Szajera Szpondra i wielu innych. Nie ulega też dla mnie wątpliwości, że między Krakowiankami znalazłbym lepszych radców miejskich, niż wielu z tych, co w radzie siedzą lub siedzieć będą. Ale, o ile szczerze radbym, aby przyznać kobietom pewne prawa wyborcze, a przedewszystkiem usunąć ich głosowanie przez zastępstwo, co nietylko im ubliża ale i szerzy korupcyę, to z drugiej strony takie pochody uliczne są raczej ośmieszeniem, niż poparciem samej sprawy.

Wspomniałem nazwisko p. Paducha. Nie żal mi, że go usunięto z Koła polskiego, ale żal, że usunięto go tylko jednego. Przy sposobności procesu, który z jego powodu toczy się w Tarnobrzegu, wyszło na jaw, że istnieje cała falanga prywatnych sekretarzy. Sekretarzem p. Paducha był p. Dębiński, sekretarzem p. Stapińskiego jest p. Mojżesz Kanarek, sekretarzem p. Mojżesza Kanarka jest p. Łęcki. A to się rozbiła szkuta z sekretarzami! Nie wiadomo tylko, kto jest sekretarzem p. Łęckiego i kto jest sekretarzem p. Dębińskiego. Największym t. j. raczej najgłośniejszym jest p. sekretarz Kanarek, członek rodziny, która wyposaża swymi ablegerami wszystkie stronnictwa. Jest to bowiem zasadą wielkich rodzin, że na wszelki wypadek do każdego stronnictwa przeznaczają jednego ze swych członków. Otóż p. Mojżesz Kanarek jest ludowcem, p. Rachmiel Kanarek (imienia dzienniki nie podały) wystąpił jako krakowski demokrata. Na tę rozwijającą się kulturę kanarków w Galicyi zwracam uwagę syndykatu rolniczego.

A w tym syndykacie, sławnym z wzajemnych wyrzucań, nastał spokój. Było jego walne zebranie, ale co na niem mówiono, to pozostanie tajemnicą, bo nowy dyrektor p. Scipio (nazywają go hrabią, choć nie figuruje w żadnym almanachu rodzin hrabiowskich) uznał za stosowne wyrzucić z sali sprawozdawców dziennikarskich. Do wiadomości publicznej doszło tylko, że wyrzuconego przez radę nadzorczą i sąd dyrektora Prażmowskiego, na nowo wrzucono do dyrekcyi, poczem on sam się wyrzucił. Z tego wniosek, że wyrzucenie jego nie było sprawą idealnie czystą. Trudno się też powstrzymać od stwierdzenia faktu, że syndykat przyłączył się do Związku Kółek rolniczych, założonego i dobrze prowadzonego przez p. Prażmowskiego i że pierwszym widomym skutkiem tego połączenia było usunięcie długoletniego dyrektora. Obecnie jest nim p. Karol Scipio, ów pogromca dziennikarzy, znany z tego, że piastował conajmniej dwa tuziny dyrektorstw wszelkiego rodzaju i to... bez powodzenia. Oby ta „wymiana mózgów“ nie wyszła na szkodę syndykatowi.

Po tych cieniach nieco światła. Wspomniałem już w jednej z poprzednich kronik o zapisie 250 tysięcy rubli przez p. Roeslerową na cele oświatowe i o takiej samej sumie, zapisanej przez p. Bothową na różne publiczne instytucye. Do tych ofiar mieszczanek warszawskich przybyła ofiara koło 100 tysięcy koron, złożona przez mieszczankę lwowską p. Wojciechowską. Swieżo doniosły dzienniki o testamencie ś. p. Sadowskiego, który koło 300 tysięcy rubli oddał na dobro ogólne. A do tych mieszczanek i tego szlachcica przybywa ofiarny polski włościanin Jan Chmielowski, chłop ze Sierpca w Królestwie Polskiem. Zapisał on 250 tysięcy t. j. połowę swego majątku na szkołę, dom ludowy i ochronkę. A nie był to „chłop uczony“, przeciwnie był to... analfabeta. Ale miał serce „uczone“ w miłości oświaty i dobra ludu. Więc położony na wieńcu u jego trumny napis: „Czcigodnemu obywatelowi“ był wyjątkowo prawdziwy i zasłużony.

Zgon Nestora rzeźbiarzy polskich.

W sędziwym wieku, bo przeżywszy lat 78, zmarł w ubiegłym tygodniu w Krakowie jeden z głośnych ongi artystów-rzeźbiarzy polskich, ś. p. Walery Gadomski. Smierć jego bezpośrednio nie stanowi straty dla sztuki polskiej, gdyż ś. p. Gadomski od lat przeszło 20 był z powodu zupełnej ślepoty nieczynny, nie mniej jednak należy się temu wybitnemu artyście i wielce zasłużonemu obywatelowi i patryocie pamięć wśród społeczeństwa.

S. p. Gadomski urodził się 1833 r. w Krakowie. Kształcił się w krakowskiej Akademii Sztuk pięknych, następnie w Wiedniu, a zaraz u wstępu swej karyery artystycznej spotkał się ze szczerem uznaniem i pochwałami. Z wielu prac jego dłuta znane są zwłaszcza w Krakowie: pomnik Kopernika w klatce schodowej Akademii Umiejętności, biust Zyblikiewicza pod magistratem, posągi Zygmunta Augusta i Jana III. w ogrodzie Strzeleckim. Ponadto parę prac jego posiada Muzeum Narodowe.



Zgon nestora rzeźbiarzy polskich: Ś. p. Walery Gadomski.

S. p. Gadomski pracował też przez szereg lat na stanowisku profesora rzeźby w krakowskiej Akademii sztuk pięknych, a porzucił je, jak wogóle pracę zawodową, dopiero 1887 r. straciwszy wzrok.

Zmarł w ubóstwie, w zakładzie Helclów, zapomniany prawie zupełnie przez pokolenie dzisiejsze, które go wcale nie znało.

Z powodu braku fotografii zmarłego, który nie lubił się fotografować, zamieszczamy dziś reprodukcyę jego portretu, pędzla prof. Fałata.

Przed wystawą podhalańską we Lwowie.

(Do illustracyi na str. 3 i 4).

Za kilka dni nastąpi we Lwowie otwarcie wystawy podhalańskiej w lokalu towarzystwa sztuk pięknych. Wystawa ta zapowiada się świetnie zarówno ze względu na oryginalność i artystyczną wartość przedmiotów, które będzie można oglądać, jak i na umiejętne kierownictwo. Spoczywa ono w rękach znanego rzeźbiarza Wojciecha Brzegi. Powszechnie wiadomo, że Brzega, góral zakopiański, początkowo samouk, talentem swym zwrócił na siebie powszechną uwagę, a następnie ukończył akademię w Paryżu i obecnie uchodzi za najlepszego znawcę sztuki podhalańskiej.

W zakres przedmiotów wystawionych wejdą dzieła sztuki w dosłownem znaczeniu oraz przedmioty codziennego użytku artystycznie wykonane i ozdobione, z których, jak wiadomo, słynie Zakopane i Podhale.

Jedna z illustracyi naszych przedstawia p. Wojciecha Brzegę w malowniczym stroju stron rodzinnych, którego dotąd żal mu się wyrzec, druga skład nadesłanych okazów, które kierownik wystawy ocenia i klasyfikuje.

Po otwarciu wystawy zamieścimy bardziej szczegółowe zdjęcia, które zaznajomią czytelników naszych dokładniej z tym faktem ważnym w dziejach rozwoju sztuki polskiej. Na razie witamy go jako objaw dodatni i wzywamy publiczność do gorącego poparcia.

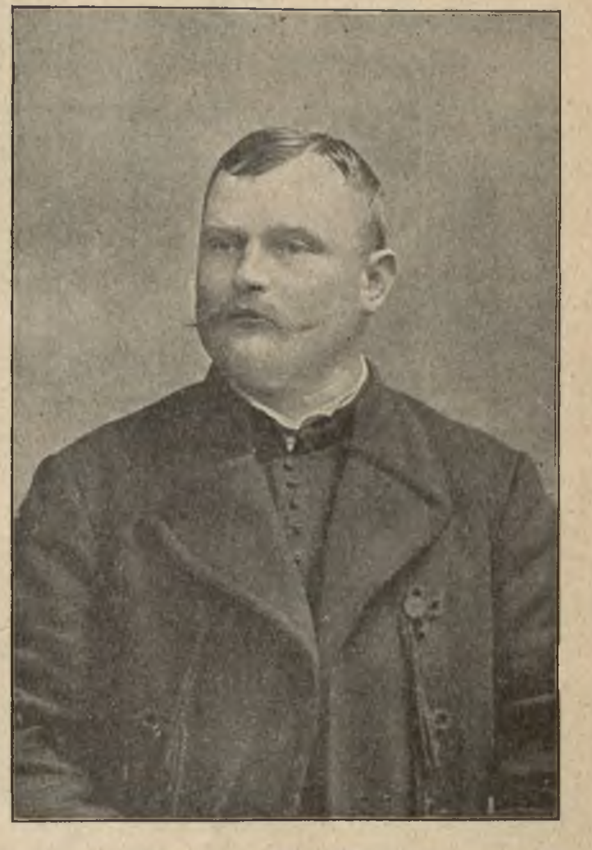
Wykluczenie posła z Koła polskiego.

Sprawa wyrabiania koncesyi szynkarskich przez posłów do parlamentu nie jest jeszcze skończona, gdyż zarzutów, podnoszonych przeciw Fidlerowi i Wiąckowi dotąd nie stwierdzono. Natomiast nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że poseł Paduch za wynagrodzeniem pieniężnem starał się o koncesye. Winny sam przyznał się do tego wobec wybranej do zbadania sprawy komisyi stronnictwa narodowo demokratycznego i został z tego stronnictwa wykluczony.

Ale w ten sposób nie stało się jeszcze wszystko, czego wymagała sprawiedliwość i poczucie godności narodowej. To też Koło polskie postanowiło również nie ścierpieć w swem łonie człowieka, który skalał się przekupstwem i naraził je na ciężkie zarzuty i szyderstwa ze strony kół politycznych niemieckich i prasy monarchii, korzystającej pilnie z każdej sposobności wystąpienia przeciw Polakom. Wniosek wykluczenia Paducha wywołał wprawdzie żywą dyskusyę, przyjęty jednak został jednogłośnie.

Fakt to bez wątpienia godny uznania. Reprezentanci kraju naszego w parlamencie muszą mieć czyste ręce — i żadna skrucha nie usprawiedliwi czynów, które narażają imię polskie na pośmiewisko nieżyczliwie usposobionych i skwapliwie uogólniających fakta niemieckich pismaków. Oby tylko podobna bezwzględność cechowała dalsze postępowanie Koła wobec skompromitowanych posłów bez względu na stronnictwa, do jakich należą, i wpływy, jakimi się dotąd cieszyli.

Ze zgangrenowanych członków nigdy nie będzie pożytku. Zresztą osoba teraźniejszego prezesa Koła, człowieka nieposzlakowanego i nie związanego względami partyjnymi, daje pewną gwarancyę, że wszystkie brudne sprawy będą dokładnie rozpatrzone i winowajcy nie ujdą bezkarnie.



Wykluczenie posła z Koła polskiego: Antoni Paduch.

Ustąpienie rosyjskiego prezydenta ministrów.

Trzecie przesilenie ministeryalne zapisała historya Europy w ciągu miesiąca. Za Briandem poszedł Luzzati (patrz artykuł), a równocześnie prawie ustępuje Piotr Arkadjewicz Stołypin, którego projekt kuryi narodowościowych w ziemstwach spotkał się z silną opozycyą rosyjskiej Rady państwa.

Stołypin ma za sobą karyerę polityczną równie szybką, jak świetną. Powołany w maju r. 1906. na stanowisko ministra spraw wewnętrznych w gabinecie Goremykina, w lipcu tegoż roku został jego następcą. Od tego czasu przez lat pięć piastował tę godność, nie zyskał jednak popularności. Partyom opozycyjnym wydawał się zbyt konserwatywnym, ludziom „istinno ruskim“ zbyt liberalnym.

Utworzeniem nowego gabinetu ma zająć się Kokowcew, dotychczasowy minister skarbu. Zdaje się, że skieruje on ster polityki wewnętrznej jeszcze bardziej na prawo. Swiadczą o tem choćby słowa, które dwa lata temu wyrzekł w Dumie: „Chwała Bogu, że w Rosyi niema konstytucyi!“



Dzień kobiet: Demonstracyjny pochód kobiet wiedeńskich.



Ustąpienie rosyjskiego prezydenta ministrów: Piotr Arkadjewicz Stołypin.

W sprawie naszej wielkiej Szarady.

Stosownie do zawiadomienia, ogłoszonego w swoim czasie, odbyło się w dniu 18-go marca br. w lokalu Redakcyi publiczne losowanie nagród, przeznaczonych dla P. T. Prenumeratorów, którzy nadesłali trafne rozwiązanie wielkiej Szarady konkursowej.

Nagrody otrzymali:

1. Fortepian: Nr. losu 1709. Rogala Włodzimierz, Rogoźno.
2. Zegarek złoty: Nr. losu 659. Wakulski Bronisław, Warszawa.
3. Rower: Nr. losu 90. Czańska Marya, Wiedeń.
4. Łańcuszek złoty: Nr. losu 852. Serwacki Zenon, Tarnopol.
5. Dubeltówka: Nr. losu 1632. Wiktor Jan, Rzeszów.
6. Gramofon: Nr. losu 1215. Kaznowski Jan, Warszawa.
7. Pierścionek: Nr. losu 372. Morawetz Jan, Lwów.
8. Garnitur do palenia: Nr. losu 1153. Siwak Karol, Kraków.
9. Neseser do podróży: Nr. losu 1451. Dobrowolski Hieronim, Rzeszów.
10. Serwis na umywalnię: Nr. losu 116. Michalski Szymon, Kraków.
11. Srebrna papierośnica: Nr. losu 855. Sułkowski Stanisław, Warszawa.
12. Lampa postumentowa: Nr. losu 1334. Misiewicz Tomasz, Podgórze.
13. Serwis porcelanowy do herbaty: Nr. losu 777. Jakubowski Leon, Morawska Ostrawa.
14. Kosz na owoce: Nr. losu 493. Marcinkiewicz Józef, Stanisławów.
15. Laska ze srebrną rączką: Nr. losu 1833. Gabryel Marya, Sambor.
16. Przybory do golenia: Nr. losu 12. Gerlinger Karol, Lwów.
17. Przybory toaletowe damskie: Nr. losu 1935. Gąsiorowski Henryk, Poznań.
18. Lornetka teatralna: Nr. losu 876. Faliszewski Stanisław, Baligród.
19. Przybory do pisania na biurko: Nr. losu 108. Baranicz Jakób, Kałusz.
20. Torebka skórzana damska: Nr. losu 1030. Rembaczówna Zofia, Lwów.
21. Portfel na banknoty: Nr. losu 619. Kazrlik Zbigniew, Wieliczka.
22. Neseser z przyborami do szycia: Nr. losu 139. Ks. Sroczyński Nowina Jan, Siedlce.
23. Portmonetka ze skóry: Nr. losu 1366. Robak Józef, Kraków.
24. Kasetka papieru listowego: Nr. losu 445. Bocsoń Aleksander, Bóbrka.
25. Ozdobna kasetka pomadek i cukrów: Nr. losu 766. Boulangé Zofia, Gawłówek.

Wydawanie nagród nastąpi w lokalu Redakcyi w pierwszych dniach kwietnia. Należy się po nie zgłosić osobiście lub też wskazać dokładny adres, pod którym na koszt wygrywających zostaną pocztą rozesłane.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10.

Logogryf:

K r a j c z y
G u m ó ł k a
K a s z m i r
M a r e n g o
M o r f i n a
B a l b i n a
P i e r n i k
K a t a l o g
B r y n d z a
G a n d a w a
K a r t a c z

Zadanie przysłowiowe: Leniwemu zawsze święto.

Łamigłówka:

Sara
Pani
Rura
Arno
Wino
Amen
Runo
Miny
Głód
Ukaz
Lody
Pień
Kwas
Kłak
Lina

Szarada: Pogawędka.

Trójkąt magiczny:

R e j M i k o ł a j
E s p a r c e t a
J a r z ą b e k
M a r m o r a
I n d y g o
K a j a k
O l g a
Ł o ś
A r
J

Zadanie do przestawienia: Jaki pan, taki kram.

Szarada: Metamorfoza.

Szarada: Buk, Bug, Bóg.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Wodziński Rzeszów, J. Czernecki Złoczów, M. Herman Lwów, K. Laurecki Sanok, J. Krysakowski Lwów, M. Lemiszewska Stanisławów, A. Balicki Stanisławów, K. Gliński Kołomyja, S. Hubaczek Tarnopol, M. Gryziecka Przemyśl, J. Nowacki Radomyśl, D Sedyńska Kraków, J. Popiel Kraków, J. Hillebrandt Lwów, R. Knapik Tarnopol, J. Kopczyńska Bierzanów, K Wiewiórowski Janów, W. Potocka Kraków, I Brzostowski Kraków, M. Wojkowski Tarnopol, W. Zieliński Kraków, J. Kielar Rzeszów, T. Broda Stryżów, H Stopczyńska Lwów, J. Łopatyński Lwów. H Zielińska Jasło, O. Górkowa Chyrów, M. Więckowska Warszawa. H. Sontag Łódź, J Hołubasz Stanisławów. K Suchecki Zaleszczyki J. Stępień Budapeszt. F. Gebhardt Kraków. M Planecka Kraków, Z. Czarnowski Jasło, J. Sapecki Poznań, K. Cegielski Berlin, H Gromnicka Lwów, J Skalski Kraków, W Cisowski Lwów, J. Kopacz Lwów, A. Stolarska Podgórze, S Krzyżanowski Podgórze, F. Frankowicz Warszawa, M. Kwaśniewski Piotrków. M. Czarnecki Rozwadów, W. Urban Lwów, J. Wilkosz Rzeszów, J. Morawski Rzeszów, S Bandrowski Sandomierz, M Ostrowska Łomża, A. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, M. Krawecki Rzeszów, J Lioski Czerniowce, H Lindenbaum Kołomyja, J. Ohrenstein Stanisławów, J. Klappholz Rzeszów, J. Antosz Kołomyja, M. Waligórska Stanisławów, M. Barnat Cieszyn, J Grodecki Rzeszów, C. Zamorska Lwów, J. Karliński Sambor, T. Mazaraki Radom, J Trepka Sandomierz, J. Lisowski Jasło, T. Dudek Cieszyn, H. Sperling Wiedeń, S. Wasilewski Zakopane, J. Żugaj Rzeszów, J Dymnicki Tarnobrzeg, H. Komorowski Brzeżany, S. Karwowski Poznań, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków. K. Fuchs Czeremchów, J. Engelberg Rzeszów, C. Wang Sanok, H. Piątek Podwołoczyska, M. Tuszyńska Kraków, L. Sobański Warszawa, H. Rosenberg Łódź, J. Breiter Stanisławów, F Obraczay Przerów, K. Heller Kołomyja, H. Maciejowska Winnica, W. Thun Kalisz, M. Kalinowska Piotrków, J Dąbrycz Piotrków, M. Pytlik Radomyśl, J. Jahoda Cieszyn, M. Tokarska Sambor, K Dzikowski Tomaszów, J. Batko Muszyna, Z. Łapiński Kraków, W. Olszańska Lwów, J. Krobicki Sanok, S. Bukowski Kijów, K. Ciszewski Lwów, J. Wołyniec Stanisławów, J. Rożniatowski Jabłonów, B Świtlikowa Rzeszów, K. Turecka Tarnopol, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Suchecki Zaleszczyki.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Izrael Knoller, Sambor: Rozwiązanie zapisane pod nr. 709 Jako rozwiązujący podany był Józef Knoller.

WP. A. M. Lwów: Rozstrzygnięcie konkursu o największą ilość wyrazów nastąpi przed świętami Wielkiejnocy, sprawdzanie bowiem nadesłanych rozwiązań pochłania mnóstwo czasu.

WP. H. Goldstern, Warszawa: Książkę adresową Czech sprowadzić można za pośrednictwem każdej księgarni, krakowskiej. Przypuszczamy, że podejmie się tego i któraś z firm warszawskich.

Głosy publiczne.

Konkursy hippiczne oraz wielki „wyścig myśliwski" w Krakowie. Komitet galicyjskiego Klubu jazdy panów uchwalił na odbytem posiedzeniu odbyć w dniu 14. maja b. r. na placu wyścigowym IX. konkurs hippiczny czyli popisy w jeździe konnej oraz skakaniu przez przeszkody, jakoteż w tymże samym dniu wielki wyścig myśliwski, dotowany trzema nagrodami honorowemi oraz 400 K, podczas którego totalizator czynnym będzie.

Konkursy hippiczne dotowane 2.550 K. oraz „wielki wyścig myśliwski" o mecie 4.000 metrów wyposażone będą licznemi nagrodami honorowemi, między temi od Najjaśniejszego Pana, wielu arcyksiążąt oraz od zwolenników sportu. Termin mianowań do popisów oraz „wielkiego wyścigu myśliwskiego" przypada na dzień 5 maja b. r Do wielkiego wyścigu myśliwskiego można powtórnie zgłosić konie do 9 maja b. r. do godziny 11 przed południem za opłaceniem podwójnej wkładki mianowań.

W sprawie pociągów nadzwyczajnych do Zakopanego. Dyrekcya kolei państw. ogłasza następujący komunikat:

„**Pociąg nadzwyczajny do Zakopanego i z powrotem.** Celem umożliwienia wycieczek z okazyi dwóch bezpośrednio po sobie następujących dni świątecznych zaprowadza się w piątek, 24. marca b. r. z Krakowa do Zakopanego popołudniowy pociąg osobowy uwidoczniony w letnim kieszonkowym i ściennym rozkładzie jazdy pod numerem (49) (1020) (1120) (1219) (6120). (Odjazd z Krakowa o 3 45 popołudniu, przyjazd do Zakopanego o 9 57 wieczór) i w niedzielę dnia 26 marca b. r. pociąg osobowy uwidoczniony w tychże rozkładach jazdy pod numerem 6119 z Zakopanego do Chabówki (odjazd z Zakopanego o 10 00 wieczór, przyjazd do Krakowa o 6 00 rano) Podróżni jadący tymi pociągami nie potrzebują w obu kierunkach nigdzie na szlaku Kraków-Zakopane przesiadać.

Z Cyrku Edison: Najnowsza serya zdjęć kinematograficznych od piątku 24. do czwartku 30. bm. wzbudzi niewątpliwie niezwykłe zainteresowanie. Oprócz kilku arcykomicznych obrazków znajdują się w programie również zdjęcia naukowe, jak „Wycieczka w Alpy berneńskie" „Vareggio" i inne.

Atrakcyę programu stanowi aktualny zawsze i niezrównany „Żurnal Pathego", wstrząsający dramat z życia wieśniaków sycylijskich „Zdrajca", oraz prześliczna baśń sceniczna „W krainie wróżek".

Programu dopełni kilka obrazów treści humorystycznej, wśród których prawdziwe salwy śmiechu wywołać muszą „Przygody p Hasego" oraz „Parasolka".

Konkurs. Redakcya „Przeglądu Wielkopolskiego" w Poznaniu rozpisuje konkurs dla literatów polskich na napisanie noweletki. Warunki są następujące:

1) Objętość 4—5 stron druku w formacie „Przeglądu Wielkopolskiego", ogółem około 200 wierszy.

2) Co do formy i treści pozostawia się autorowi najzupełniejszą swobodę

3) Nagrody wyznacza się dwie: pierwsza 200 mk., druga 100 mk.

4) Redakcya „Przeglądu Wielkopolskiego" zastrzega sobie własność nagrodzonych noweletek i prawo ich druku w swem piśmie Inne nadesłane utwory wolno będzie drukować, przyczem wyznaczy się odpowiednie honoraryum.

5) Rękopisy nadesłać należy najpóźniej do 15 maja r. b.

na ręce Redakcyi „Przeglądu Wielkopolskiego" pod adresem Walery Łebiński, Poznań, ulica Dolna Wałowa (Niederwallstr.) nr. 1. Rękopisy powinny być czytelne, przesłane w zapieczętowanej kopercie, opatrzonej godłem autora. Do nich dołączyć należy oprócz tego jeszcze kopertę nieprzejrzystą zapieczętowaną, opatrzoną na zewnątrz również godłem autora, a zawierającą wewnątrz jego nazwisko i dokładny adres.

6) Wynik konkursu ogłoszony będzie około 15-go czerwca r. b.

7) Sąd konkursowy stanowią: dr. Dobrzyńska-Rybicka, Drwęski Jarogniew, dr. Karwowski Adam, Łebiński Walery i Puffke Kaźmierz.

Podziękowanie!

Do Wielmożnego Pana
Dra **Leona Lustra**, lekarza **w Krakowie.**

Pozwalam sobie tą drogą wyrazić WPanu szczere i serdeczne podziękowanie za nadzwyczaj sumienne i skuteczne wyleczenie mnie z choroby cebulek włosowych i za uratowanie przed zupełną utratą włosów, która mi w następstwie tej choroby groziła.

Z wysokiem poważaniem *Franciszka Soldanowa*
Prościejów, ul. Kościelna L. 9 na Morawie.

Z półek księgarskich.

Wyzwolenie. Miłość — Prawda — Praca. Miesięcznik poświęcony wymaganiom nowoczesnego życia. Przez zwalczenie alkoholizmu i poprawę obyczajów do odrodzenia narodu. Czasopismem kieruje Komitet redakcyjny. Adres Redakcyi i administracyi: Eleuterya-Wyzwolenie. Lwów, skrytka pocztowa 110. Rocznie 4 K 30 h.

Podwójny zeszyt za miesiąc styczeń i luty zawiera między innemi: W 48 rocznicę powstania styczniowego. Nowoczesne zadania polskiego ruchu abstynenckiego. Korespondencye. Przegląd czasopism. Kronika. Rozmaitości. Działalność Towarzystwa i t. d.

Listy miłosne Maryanny d'Alcoforado. Tłomaczenie i wstęp *Stanisława Przybyszewskiego*. Lwów 1911. Nakładem księgarni Jana Maniszewskiego we Lwowie. Kor. 1.50.

Jako anonimowe „Lettres portugaises" pojawiły się w Paryżu u Claude Barbin'a w r. 1669 słynne listy portugalskie. Przedmowa do tego wydania głosiła, że listy owe są tłomaczeniem z jęz. portugalskiego, oraz, że pisała je jakaś dama, wydawcy nieznana, do kawalera rodu znamienitego. Z biegiem czasu zostało nazwisko bohaterki owych listów wyjaśnione a była nią Maryanna d'Alcoforado, zakonnica z klasztoru w Beji. Listy te doczekały się kilkudziesięciu wydań a znakomity ten dokument psychologiczny duszy kobiecej a zarazem znamienity pomnik literatury wszechświatowej przełożył obecnie na język polski artysta tej miary, co Stanisław Przybyszewski.

Mulford Prentice. „Moc ducha". Zasady wzmacniania ducha i ciała, kształcenia siły woli i osiągnięcia prawdziwego szczęścia. Lwów 1911. Nakładem księgarni Jana Maniszewskiego we Lwowie kor. 3.60.

Nowa książka głośnego autora „Sztuki życia czyli Rad przeciwko śmierci" zyska niewątpliwie poczytność w szerokich sferach czytającej publiczności. Na treść jej składa się dziesięć rozdziałów, omawiających leczenie ciała, o sile, słabościach, uczuciu, kuracyi umysłowej, królestwie myśli, powodzeniu, sprawiedliwości, złudzie, sztuce, nauce i t. d.

Amerykański myśliciel Clifford Harrisson o dziele tem tak się wyraża: „Dzieło Mulforda podaje w jasnej a krótkiej formie przedziwnie cenne wskazówki dla piękniejszego życia. W tem dziele dużo praktyki życiowej; te nibyto ze snów utkane zasady są ogromnej wartości w zastosowaniu do wszelkich naszych potrzeb".

Ze świata kobiecego.

Pragnęłabym Czytelniczkom moim módz podać już coś stanowczego z przepisów tegorocznej mody, ale jak sama ta wiosna, co na wzór dawnych pielgrzymów, robi dwa kroki naprzód a jeden w tył, nim wreszcie weidzie do nas tryumfalnie, tak i moda tegosezonowa dziwnie jest wahającą i jak dotąd nie ogłasza jeszcze swych paragrafów ścisłych a nieodmiennych.

Przyczyną tego może jest zapowiedziany na początku sezonu kaprys, noszący nazwę *jupe-culotte*



Rys. 1. Suknia wizytowa z atłasu *charmeuse*. Rys. 2. Suknia wiosenna z wełnianego granatowego materyału.

lub w swej potencyi najwyższej *culotte-odalisque*. Przeprowadzić go trudno jakoś, bo opór części pań a ogółu panów jest zbyt wielki — a cofnąć się z honorem także jakoś niełatwo... Stąd nastało pewnego rodzaju *interregnum*. Trochę zapożycza się z zimowego sezonu, robi drobne, malutkie zmiany i... czeka wciąż. A może... może jednak *strike* antikiulotowy minie, może pogodzą się zastępy zbuntowanych i poddadzą znów pokornie berłu Mody? *Qui vivera verra*. Więc pewnego coś na polu mody trudno dziś zanotować: obcisłe spódniczki, angielskie i francuskie żakieciki krótkie, wielki kapelusz, żywe kolory, zapożyczone ze wschodnich strojów, egipskich wzorów hafty i przystroje, przetykane złotem, stosowane do ciemnych lub niepewnych barw. Z modnych kolorów najmodniejszym będzie czerwony w najrozmaitszych swych odmianach od pastelowego *corail* aż do szkarłatnego żywego. Ale żółty, niebieski, zielony zarówno będą w użyciu; wszystkie one jednak muszą być żywe i wybitne.

Obok żakiecika w angielskiego kroju kostyumie, zapowiadają t. zw. *cape* z jedwabiu, koronek, pasmanteryi, jako strojne uzupełnienie toalety; niemniej ważną rolę ma odgrywać w wiosenno letniej modzie *bolero* dłuższe i krótsze, częstokroć z frakowemi tylnemi połami, zdobne haftami metalowymi lub pełne prostoty; niemniej w użyciu pozostają *écharpe* tak pełne wdzięku w umiejętnie rzuconej draperyi, z zakończeniem frendzli z odpowiednich do barwy szalu perełek; — słowem projektów wiele, ale stanowczych reguł jeszcze mało. Stanowczo tylko zmieniły się dotąd rękawy, coraz mniej obcisłe, częstokroć już z falbanami od łokcia; widoczną także jest tendencya do przedłużenia krótkiej dotychczas, w stylu *empire*, linii stanu — co przeprowadza się przy pomocy wysokich, z jedwabiu w fałdy układanych pasków.

Z materyałów jedwabnych bardzo znów w modę wchodzi dawniej używana *moiré antique* na jednolite kostyumy a i żakieciki wiosenne; dalej używanym będzie atłas *Liberty* paskowany, zwłaszcza w białe do ciemnych tonów i czarnych; niemałem powodzeniem na letnie suknie również cieszyć się będzie fular w nowe wzory o drobnym rzuciku: więc w punkciki rozmaitej wielkości, paski węzłowate, drobne kwadraciki, stylizowane kwiatki i t. p.

Rysunek nasz 1. podaje strojną wizytową suknię o staniczku „kimono“ z atłasu *charmeuse* habrowo-niebieskiego; na 8 cm. szeroka poprzeczna bordiura, na połowie szerokiego przedniego brytu spódnicy, składa się z drobnych rolek z czarnego atłasu *merveilleux*, cienkiego srebrnego i grubszego, mocnego czarnego jedwabnego sznureczka. Stanik zapinany na plecach otrzymuje na boku przystrój z guziczków niebieskich atłasowych, imitujący zapięcie; górą, u szyi stanik ma passę z czarnego *merveilleux*, zakończoną takąż jak na spódnicy bordiurą, tworzącą rodzaj *fichu*, przystrój stanika naśladujący boczne zapięcie powtarza się na boku spódnicy, zaopatrzonej czarną atłasową plisą szeroką na 20 centymetrów, która z przodu ustępuje miejsca bordiurze; rękawy kimono dołem zakończone są w prosty 8 - 9 cm. szeroki mankiet z czarnego *merveilleux*. Zamiast paska przytwierdzony jest u spódnicy czarny sznur jedwabny.

Rysunek 2. Suknia z granatowego wełnianego materyału z ułożoną w fałdy falbaną na 40 cm. szeroką; staniczek fasonu „kimono“ otrzymuje górą szmizetkę z przeźroczej koronki, wyszytej złotemi perełkami, spód tej szmizetki stanowi czerwony jedwab. Rękawy spodniego stanika, przedłużające półkrótki rękaw granatowy zrobione są również z czerwonego jedwabiu i naszytej perełkami koronki czarnej lub białej. Stanik kimono na karczek rozcięty z przodu i zesznurowany jedwabnym granatowym sznurem na czerwonym jedwabiu, guziczki kuliste złote; ten sam przystrój u paska.

Rysunek 3. zarówno jak 4. dają nam dwa wzory kapeluszy dla młodziutkich dziewczynek; pierwszy z nich jest ze złoto-żółtej słomki; rondo odwinięte wysoko i z boku przecięte, obszywa się bronzowym aksamitem. Fantastyczne pióro, stanowiące ubranie zwierzchnie, ułożone jest z plecionki słomkowej.



Rys. 3. Kapelusz dla młodej dziewczynki z odwiniętem rondem.

Rysunek 4. stanowi wzór kapelusza dla młodych dziewczynek, formy *cloche*, który każdy może sobie zrobić w domu. Na podstawie z drutu, łatwo wykonalnej, obciągniętej białą gazą o średnicy 49 cm.,



Rys. 4. Kapelusz *cloche* dla młodziutkiej dziewczynki.

naszywa się plecionkę z niebieskiej słomki. Rondo podszyte czarnym aksamitem; z wierzchu kapelusz zdobią gałązki róż polnych ułożone w rodzaju kokardy.

Mora...

Krajowa fabryka czekolady A. Piaseckiego w Krakowie.

Gdy padnie hasło, będące na czasie, hasło, którego żywy odgłos bije w całem społeczeństwie, poczyna się ruch i stają jednostki do działania.

Tak padło hasło: „Popierajmy przemysł krajowy!“ i stanęły liczne jednostki do pracy. Powstają nowe fabryki, budzimy się z wiekowego uśpienia i biorąc przykład z narodów ościennych, które przemysł uczynił potężnymi, bierzemy się ze zdwojoną energią do czynu, bo „czas uderzyć w strunę drugą, w czynów stal“...

Jednym z takich skromnych, cichych a energicznych pracowników na polu stwarzania przemysłu krajowego to p. Adam Piasecki, właściciel z początku małej cukierenki przy ul. Długiej, dziś pierwszej u nas — śmiało można powiedzieć — cukierni i pierwszej w kraju wzorowej fabryki czekolady.

Co może wytrwałość, ta „matka niedoli, co gmachy tworzy z cegiełek powoli“, przykładem żywym fabryka czekolady p. Piaseckiego, ta nowa placówka przemysłu naszego. Kiedy, po odbyciu praktyki w Warszawie, przybył p. Piasecki w 1893 r. do Krakowa, pracował tu przez pięć lat w pierwszorzędnych dwóch firmach, poczem w 1898 r. nabył istniejącą przy ul. Długiej pod l. 20 małą cukiernię, która nie cieszyła się powodzeniem. Ulica Długa w owych czasach, a dziś! Wszyscy pamiętamy te małe domki z podcieniami, zapadłe w ziemię, z oknami przy samym bruku, wśród których szeregu tu i ówdzie kamienica dumnie strzelała w błękity. To też w tamte strony zapędzali się tylko stale tam mieszkający i ruchu handlowego nie było żadnego. Ale nie zrażało to wcale p. Piaseckiego, cukiernię nabył i już w pierwszym roku taką zdobył sobie sławę doborowymi wyrobami, że ul. Długą poczęli odwiedzać z najodleglejszych punktów miasta mieszkańcy dla zaopatrzenia się w wyborne ciasta i cukry. Po trzech latach lokal dotychczasowy okazał się za mały, przeniósł też p. Piasecki cukiernię do domu pod l. 12 (gdzie obecnie się znajduje), urządzona skromnie, lecz czyściutko i cieszy się rosnącem z dniem każdym powodzeniem. Szybko powiększa się ona, koło odbiorców zwiększa się z dniem każdym — p. Piasecki otwiera z konieczności filię w hotelu Drezdeńskim. Z tą chwilą zdobywa wszystkich wybrednych smakoszów, którym pomimo zupełnego uznania znakomitości wyrobów, za daleką była ul. Długa i sława cukierni rozchodzi się daleko za Kraków — z Wiednia, z Paryża odbiera liczne zamówienia. Ale powodzenie to staje się dla p. Piaseckiego podnietą do dalszego rozwoju interesu. Zdobywszy środki materyalne, marzy o założeniu fabryki czekolady, boli go bowiem, że za ten artykuł choćby od niego samego kilka tysięcy płynie za granicę. Niezrażony głosami puszczyków, którzy odradzali mu ten zamiar, twierdząc, że nasza publiczność jest uprzedzona do wyrobów krajowych, że więc nie będzie powodzenia i szkoda zachodów i wysiłków — zakupuje przy ul. Szlak realność, przebudowuje, sprowadza maszyny i w listopadzie 1910. staje fabryka i rozpoczyna wyrabiać czekoladę.

Fabrykacya dzięki dobrze zrozumianemu interesowi przemysłowemu i poparciu Sejmu oraz jego komisyi przemysłowej weszła w kraju w stadyum rozwoju. Chcąc produkcyi czekolady w kraju dać silniejszy rozpęd, udzielono fabryce p. Piaseckiego znaczniejszej, niskoprocentowej pożyczki i w ten sposób umożliwiono znaczne rozszerzenie jej produkcyi.

I pokazało się, że nasza publiczność przemysł krajowy popiera szczerze, o ile dostaje wyrób dobry i że minęły te czasy bezpowrotnie, kiedy to można się było spotkać z drwiącym uśmiechem politowania dla jednostek, chcących na tem polu pracować. Publiczność nasza, przekonawszy się, że czekolada z fabryki p. Piaseckiego pod względem dobroci jest conajmniej równą zagranicznym tego rodzaju wyrobom, zwróciła się z całą sympatyą do nowego ogniska krajowego wytwórstwa i nie skąpi mu dowodów uznania, rozchwytując jego wyroby. A p. Piasecki obmyśla nowe gatunki czekolady, nowe opakowania, a pomny, że tajemnica powodzenia leży w ścisłem wypełnianiu najdrobniejszych szczegółów produkcyi, sam wgląda we wszystko, sam przygotowuje potrzebne na wyrobienie czekolady składniki, nikim wyręczyć się nie pozwoli. I dobrze na tem wychodzą strony obie. Publiczność otrzymuje towar doborowy, fabryka zyskuje uznanie i zdobywa sobie sławę i rynki sprzedaży. Dziś już w całej Galicyi niema miasta i miasteczka, w którem bodaj w jednym handlu nie znajdują się tak ulubione gatunki czekolady tej fabryki, jak „Krakowianka“, „Królewska“, „Halka“, „Warszawianka“. „Zdrowia“, z orzechami i migdałami i wiele innych. Ale zamówienia nadchodzą i z za granic kraju naszego, to też w fabryce ruch z każdym dniem się zwiększa. Dziesięć maszyn, popędzanych motorami elektrycznymi o sile 26 koni, pracuje z wytężeniem, ażeby podołać zamówieniom. I raduje się serce na ten widok, boć to przecież nasza potęga, nasza niezwalczona, ten przemysł krajowy — gdy on zakwitnie, nie damy się!

Mamy nadzieję, że patryotyzm ekonomiczny obywateli naszego kraju przyczyni się w znacznej mierze do poparcia usiłowań tej ważnej krajowej placówki przemysłowej, którą też polecamy skutecznemu poparciu naszych P. T. Czytelników.


Widok ogólny fabryki.


Hala maszyn.


Sala wyrobu cukrów.


Kantor i ekspedycya.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

50

— Pani dziadek — mówił dalej inżynier — ma wkrótce wyjechać... Prawdopodobnie nie wróci tak prędko... Ma odbyć dłuższą podróż... razem z pani matką...

— Ach! — jęknęła Kamilla drżącym głosem. — Czy matka moja będzie także długo nieobecna?

— Tak...

Nastało milczenie. Kamilla patrzyła uważnie na Maurycego, który wzrok utkwiony miał w dywan, by nie widzieć młodej panny.

Nagle nieszczęśliwa rzekła:

— Pan wie wszystko?

— Wszystko? — powtórzył Maurycy. — Co takiego?

— To, czego ja znam tylko połowę...

Przy słowach tych, wypowiedzianych mdlejącym głosem, inżynier podniósł oczy i uczuł, jak krew mu stygnie w żyłach. Blada twarz Kamilli stała się tak przezroczystą, iż trudno ją było teraz poznać.

— Błagam panią... — szeptał młody człowiek, nie wiedząc, co mówi. — Niech pani nie umiera... Ja panią tak kocham...

— I ja pana kocham... — rzekła Kamilla, jakby mówiła przez sen. — Ja pana zawsze kochałam... A jeżeli panu odmówiłam swej ręki, to dlatego, iż wypadek pozwolił mi poznać ohydną tajemnicę... iż czuję się niegodną pana...

Młoda panna nie władnęła już sobą tak, jak nie panuje nad sobą obłąkany lub zahypnotyzowany. Musiała wypowiedzieć wszystko, co myślała. I mówiła to, nie wiedząc nawet o tem, i mówiła głosem tak zmienionym, jak była zmienioną jej twarz.

Boleść i rozpacz, jakich doznawał Maurycy na widok takiego cierpienia, mięszały się z żywą radością przy wyznaniu heroicznej komedyi, jaką przedtem względem niego odegrała Kamilla.

I on już nie panował nad sobą.

— Jakto?... — zapytał. — Pani się czegoś dowiedziała?... I to dlatego... Och!...

— Maurycy!... — rzekła Kamilla, kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka. — Co oni zrobili?..

Inżynier nie mógł już teraz zachować miary w swych słowach. Nie zdolny był do układania zdań i skrywania prawdy.

— Znieważyli ją... — odpowiedział. — Chcieli zgubić tę biedną Ludwikę Dubois....

— Lecz dlaczego?... Dlaczego?

— By zniesławić ją w oczach Piotra Cartelegue'a, który chciał ją poślubić... Chcieli ją zniesławić, porwać i zgubić...

Z piersi Kamilli dobył się przeraźliwy jęk. Usta jej wykrzywił przejmujący ból.

Maurycy spostrzegł dopiero teraz, do czego doprowadził ukochaną swemi słowami.

— Lecz co ja mówię?... — przerwał. — Ja nie powinienem opowiadać tego!...

— Owszem!... Powiedział mi pan przed chwilą, że dziadek i matka nie prędko wrócą... Oni nie powrócą już nigdy?

Inżynier nie odpowiedział.

— Oni nie żyją?... — zawołała młoda panna.

— Nie! nie! żyją! — odparł Maurycy.

— Ale śmierć im grozi?...

Inżynier znowu milczał.

— Kto ich ukarze?... Kto ich skazał?... Piotr?..

— Piotr a zwłaszcza Julian Maixent...

— Ten pan, którego tu widziałam?...

— Tak...

— Dlaczego on to czyni?... Czy i on ma powody do skarżenia się na nich?...

— Tak...

Kamilla zamilkła na chwilę, potem złożyła ręce i rzekła:

— Maurycy, ja muszę widzieć pana Maixenta... Obowiązkiem moim jest uczynić wszystko, by ocalić matkę...

— Boję się... — zaczął inżynier.

— Maurycy, ja proszę — przerwała młoda panna pokornym tonem — ja błagam, by pan mi ułatwił widzenie pana Maixenta...

— Dobrze! Niech pani poczeka! Pomyślę! — rzekł inżynier.

Przez chwilę stał w milczeniu, potem przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdował się telefon. Wkrótce dyrektor świętej Anny oznajmił miliarderowi, iż Maurycy oczekuje go przy ulicy Amsterdamskiej.

W pół godziny potem Lewis Jackson wchodził razem z Piotrem i Joem Smithem po wąskich schodach swego hotelu.

Na drugiem piętrze przed drzwiami swego pokoju Amerykanin ujrzał dwa cienie.

— To pan de Terrade? — zapytał.

— Tak, to ja — odpowiedział inżynier.

Levis Jackson otworzył drzwi swego pokoju i słabe światło oświeciło korytarz.

— Panna de Lagunan?... — rzekł Amerykanin, poznając młodą pannę.

Piotr na widok swej przyjaciółki nie rzekł ani słowa, nie zrobił najmniejszego ruchu.

— Proszę!

Maurycy i Kamilla weszli do pokoju.

— Czego pani sobie życzy?

Lewis Jackson zamknął spokojnie drzwi i zwrócił się z tem zapytaniem do młodej panny.

Kamilla postąpiła dwa kroki ku Amerykaninowi i padła przed nim na kolana.

— Łaski dla mej matki!... — szepnęła.

Piotrz nawet nie drgnął. Od wizyty swej w schronisku dla obłąkanych oczy miał suche i świecące, wyraz twarzy ostry i zdawał się być nieczułym na wszystko. Lewis Jackson był bardzo zaniepokojony tym stanem młodego człowieka. Dałby wiele, by choć kilka łez uronił.

Joe Smith stał sztywny w rogu pokoju. Przy słowach młodej panny miliarder zmarszczył lekko brwi.

— Czy pani wie, co ona uczyniła? — zapytał.

— Wiem... — odrzekła Kamilla. — Chciała ją zniesławić w oczach Piotra...

— I starała się usunąć ją z tego świata...

— Wiem.

— I zbrodni, której dopuściła się obecnie względem Piotra i Ludwiki, dokonała przed dwudziestu laty na mnie i na mej żonie...

Kamilla otworzyła usta, lecz nie mogła dobyć z siebie żadnego dźwięku.

— Żona moja umarła z tego powodu — ciągnął dalej Julian Maixent. — Ludwika również może umrze... a na razie jest obłąkana...

Kamilla upadła na podłogę. Lecz zaraz wyprostowała się, pozostając na kolanach. I w tej posta wie zwróciła się do Piotra, który patrzył na nią obojętnym wzrokiem.

— Byłam twoją przyjaciółką... — błagała. — Przebacz zło, które ci wyrządzono z mego powodu... wybacz... wybacz...

Doczołgała się na klęczkach do młodego człowieka i chwytając go za rękę, pocałowała ją.

Pirtr zaczął drżeć, potem nagle wybuchnął płaczem.

— Ach! — zawołał Lewis Jackson. — Pani go pobudziła do płaczu! Dziękuję! Teraz przynajmniej on został ocalony i będzie to pani policzonem.

Kamilla odczuła, że sprawa jej przyjmuje lepszy obrót. Spojrzała na amerykanina wzrokiem pełnym wdzięczności i znowu opadła bez czucia na ziemię. Maurycy pochwycił ją w swe ręce i złożył omdlałą na małem żelaznem łóżku miliardera.

— *Hallo!* — zapytał Lewis Jackson. — Zostawimy więc ich przy życiu?

— *Well!* — ciągnął dalej amerykanin. — Zmienię wyrok...

Ze zmarszczonem czołem, z oczami podniesionemi do góry, z rękami w kieszeniach rozmyślał przez chwilę. Potem po minucie rzekł:

— Los obu tych kanalii został już postanowiony... *Hallo!* Smith! chodźmy! Musimy zawiadomić Dureta o wyroku!

XI.

Gdy poprzedniej nocy policyanci rowerowi po dokonaniu pierwszych oględzin wyszli z willi, by siąść na rowery i zawiadomić komisaryat o kradzieży, krzyknęli zdumieni, podchodząc do drzwiczek ogrodu. Rowerów. które pozostawili tu oparte o akacyę, nie było. Zwrócili się do otwartego okna, w którem stał Maksym Duret i zawołali razem:

— Skradziono nasze maszyny!...

A jeden z nich dodał:

— To złodzieje urządzili nam ten kawał!...

Potem wyszli i pobiegli szybko w stronę komisaryatu.

Prezes zamknął okno, dał znak służbie, by go opuściła i opadł w fotel stojący między kasą ogniotrwałą a biórkiem, z którego zginęły pieniądze.

— Nie rozumiem — powtarzał. — Przecież Panajon dostał trzy kule, dwie w plecy, a jedną w głowę... Tyleż otrzymał i Tetard... Naboje te były wielkiego kalibru... Sześć strzałów... Nic, nic nie rozumiem... Oni muszą być zabici... Każdy z nich został trzykrotnie rażony... Lecz w jaki sposób znikły pieniądze, które włożyłem do teki?...

Schwycił się rękami za głowę.

— Tutaj musiał być ktoś ukryty... Lecz gdzie?.. I jak ten ktoś potrafił unieść zabitych i pieniądze?.. Policyantów wcale to nie zakłopotało. Utrzymują, iż złodzieje nie zostali nawet zranieni i udali tylko śmierć... i że uciekli przez otwarte okno, gdyśmy byli w korytarzu... Ale ja wiem dobrze, że nie mogłem chybić... strzelałem nie od drzwi na kilka metrów od nich, jak to mówiłem, lecz wprost przykładając prawie do nich rewolwer...

Wkrótce przybył komisarz. Tajni ajenci zostali zaraz uwiadomieni. O czwartej rano szef policyi osobiście w towarzystwie inspektora Loustana zjawił się w gabinecie Maksyma Dureta. Byli bardzo przejęci tą kradzieżą.

— Ach! — rzekł Loustan, widząc wypiłowaną ścianę z kasy ogniotrwałej. — Ładna robota!

Od pierwszego rzutu oka ocenił talent włamywacza.

— Znamy już pańskich złodziei — oznajmił szef Maksymowi Duretowi.

— Naprawdę?

— Tak... Jest to dwóch recydywistów, jeden z nich bardzo niebezpieczny... Panaion i Tetard...

— Odnaleźli panowie ich zwłoki?... — zapytał Duret.

— Ich zwłoki?... — odparł Loustan. — Cóż znowu. Są oni w jak najlepszem zdrowiu!...

— Ależ ja ich zabiłem!... — twierdził prezes.

— Tak się panu tylko zdaje... Chybił pan...

— To niemożliwe!... Jestem przekonany...

— Proszę pana — przerwał Loustan — spotkałem ich o pierwszej w nocy na Avenue Villiers, gdy szli jak najzdrowsi... Poszedłem za nimi. aż na ulicę Boissy-d'Anglas pod numer 36. i tam przytrzymałem tego Tetarda... który widocznie nie czuł się źle, jeżeli dopiero przy pomocy stróża mogłem sobie z nim poradzić...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziedziny kosmetyki.

Odpowiedzi.

Pani Z. K., Złoczów. Włosy wzmocni Essencya tatarochmielowa wcierana w skórę głowy. Do mycia głowy stosować także mydło. Są to rzeczy roślinne wyrobu Centralnego Laboratoryum Chemicznego w Warszawie.

Wrażliwej. Najskuteczniejszą będzie wągryna. Jak nazwa wskazuje, jestto wyrób przygotowany specyalnie w tym celu i rodzimy. W skutkach bardzo dobry, nieszkodliwy i nie drażni skóry. Przy stosowaniu wągryny używać najlepiej mydła Dr. Krysiewicza.

Pani M. M. Zmarszczki usunie krem „la jounesse" firmy Vidal w Paryżu. Stosować należy ściśle według przepisu, dołączonego do każdego pudełka.

Wszystkie środki zalecane w tygodnikach i pismach fachowych warszawskich otrzymać można we Lwowie, ul. Akademicka L. 21 w magazynie kosmetyczno-perfumeryjnym E. Pawłowskiego.

Zagadki do nagrody.

Trójkąty magiczne.

Ułożył M. Czeczótka, Podłęże.

Kwadraty i liczby w pierwszym trójkącie zastąpione odpowiednio literami utworzą szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nam część roku, przeznaczoną na zabawy. W drugim trójkącie podane głoski odpowiednio uporządkowane i uzupełnione utworzą również szereg wyrazów. Rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko dnia, który ten sezon zamyka.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ 1 5 9 3 8 6
□ 7 2 3 8 10
□ 4 9 8 11
□ 12 13 7
□ 7 14
□ 10
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Imię męskie. 3. Król egipski. 4. Poszukiwacz skarbów morskich. 5. Część stroju kapłańskiego. 6. Nasyp ochronny. 7. Powieść Dygasińskiego. 8. Spółgłoska.

□
a □
d d □
i i k □
k m m n □
o o o o o □
p p p r y z □
□ □ □ □ □ □ □ □

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Duchowny. 4. Bakterye. 5. Kraj w Azyi. 6. Środek chemiczny, używany przez fotografów. 7. Kraj należący niegdyś do Polski. 8. Szukany wyraz.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Czeczótka, Podłęże.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:

Wadowice, zgniły, maść, imię, s, d, szyjcie.

Zadanie konikowe.

Ułożył S. Lipiński, Kazimierz nad Wisłą.

				li	szcza				
		szy	jak	ru	bek	ce	cha		
		sta	łą	się	przed	pa	si		
		wy	kryw	jak	szek	tą	w swo		
		go	dział	dzi	je	wy	wys		
			dło	u	chły	się			
	nie	cy	i	o	o	nej	so	w pra	
	wciąż	wie	ży	pła	sze	cy	mał	wiecz	
o	ciu	mał	w Bo	sie	mu	bie	i	na	szło
du	rze	bie	co	so	ga	dział	prze	du	o

Zadanie przysłowiowe.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z każdego z podanych niżej przysłowi wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1. Każda liszka swój ogon chwali.
2. Kto wysoko lata ten nizko pada.
3. Kto się nie liczy, tego bieda ćwiczy.
4. Na złodzieju czapka gore.
5. Po śmierci lisa kury nie płaczą.
6. Niema gadu bez jadu.
7. Czyś na górze, czyś na dole, zawsze znajdziesz swoje bole.
8. Kto panuje, wolność traci.
9. Co chałupa, to inna nuta.
10. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
11. Stare sitko pod ławę, a nowe na kołek.
12. Za króla Sasa popuszczali pasa.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Łąka, nogi, kot, piej, em.

Logogryf.

Ułożyli M. L. B. K. z Kramarzówki.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy poda nam nazwisko zmarłego niedawno powieściopisarza polskiego.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Powieść Orzeszkowej. 3. Miasto w Królestwie Polskiem. 4. Inaczej bezbożnik. 5. Herb polski. 6. Nauka moralności. 7. Królewska rodzina w Polsce. 8. Imię żeńskie. 9. Pytajnik. 10. Spółgłoska.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Jaworzno.

— Cóż, jest obiad? — Cierpliwości!
— Piec zatykać taką sługą!
— Niechno papa się nie złości!
— Milcz! bo wezmę *trzecią z drugą*...
Jak nie *pierwsza* sprytu w głowie,
To niech warzy strawę krowie!
Od pierwszego *pierwszy drugi*
Dziękuję jej za usługi!
A gdzie Hela?... — *Całość* czyta
Bo to powieść znakomita!...

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Tadeusza Zubrzyckiego:* **Ludzie-Olbrzymy.** Cykl fragmentów z doby napoleońskiej z przedmową Władysława Bełzy.

Na wiosnę POLECA **Zygmunt Ślimakowski** Kraków, Rynek gł. Linia A-B (obok gł. trafiki).

Bluzy, Halki, Pończochy, Rękawiczki, Żaboty, Kołnierze, Welonki, **Torebki**, Boa i Pióra strusie, Szale, **Żakiety włóczkowe**, Parasole.
Najmodniejsze przybrania do sukien i przybory do szycia.
Ceny nizkie! **Towar doborowy!**

Światło spirytusowe „Wiktorin"



jest najlepszem, najdoskonalszem i efektownem światłem światowem dla wszelkich zapotrzebowań w życiu!

Zalety:
Minimalna konsumcya materyału,
nieograniczone używanie,
nieograniczona trwałość,
absolutne bezpieczeństwo,
niedorównana siła światła,
łatwy transport,
gustowny wygląd.

Patentowane we wszystkich krajach. — Odznaczone pierwszymi nagrodami.

Kompletne lampy, włącznie z opakowaniem wprost z fabryki **od Kor. 39·— wzwyż.**

Daleko idąca gwarancya.

Lampy i szkła w pięknym wykonaniu według osobnego cennika i prospektów.

FABRYKA TOWARÓW METALOWYCH
Wiktorin & Co.
Wiedeń V., Margarethenstrasse Nr. 120.
Skład wzorów Wiedeń VI., Magdalenenstr. Nr. 6.

Do Ameryki i Kanady



przeprawia najlepiej

Linia Kunard we Lwowie, ul. Gródecka **99.**

Cena przeprawy okrętem 180 Koron. — Uważajcie na Nr. 99.

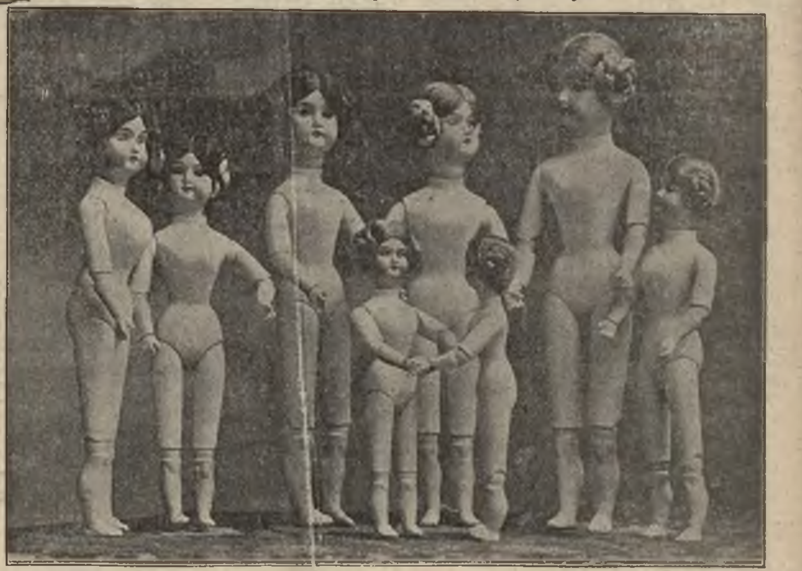
Odjazd z portu **w Tryeście:** Carpathia: dnia 25 marca 1911, Ultonia: d. 11 kwietnia 1911, Saxonia: d. 18 kwietnia 1911.
Z Liwerpolu: Lusitania: (największy i najwspanialszy parowiec świata) dnia 8 4, 29 4, 20 5, 10 6, 8 7 1911.
Maurytania: dnia 25 3, 22 4, 13 5, 3 6, 24 6, 22 7 1911.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany
Józefa Kuleszy
naprzeciw cmentarza w Krakowie
Telefon 759.
posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.
Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi.

Pierwsza krakowska fabryka lalek Kraków, ul. Wolska L. 1.

Zachęceni sympatya Szan. Publ. do swoich wyrobów, skontruowaliśmy **nową lalkę** bardzo trwałą, odpowiadająca do nauki kroju i szycia.



Wielkość od 30 cm. do 61 cm. w cenie od **Kor. 2·60** do **13·—** i więcej.

Pneumatyczne osadki do górnych lub dolnych sztucznych zębów „Dentsfixes".

Chronią od bolesnego nacisku i utrwalają znakomicie nawet przy zaniku dziąseł i zupełnym braku własnych zębów. 30 sztuk listem pole conym 3 kor. 46 h do nabycia:

W Krakowie: w drogueryi Jana Linka, Sławkowska L. 1.
We Lwowie: w aptece Dra Piotra Mikolascha,
W Sanoku: w aptece Piotra Wąsowicza.
W Ustrzykach: w apt. dzierż. Tadeusza Frankowskiego.

Prosimy napisać do nas!

co potrzebne na sezon wiosenny i letni, a my wyślemy natychmiast naszą bogato zaopatrzoną

Kolekcyę wzorów materyi

zawierającą ostatnie nowości w materyach na suknie damskie i bluzki, od najprzedniejszych do najtańszych gatunków, także towarów płóciennych i bawełnianych etc., jak również wspaniałe

ilustr. czasopisma mód,

zawierające najnowsze modele toalet damskich, konfekcyi, bluzek, kapeluszy etc., wreszcie sprzętów domowych i kuchennych, artykułów gospodarczych

bezpłatnie.

Grand Magasin „Au Prix Fixe"
Wiedeń I., Graben 15/8,
wejście **Habsburgerstrasse 1.**

ZUPEŁNIE BEZPŁATNIE!!! TO NIC NIE KOSZTUJE!!!

Każdy żądający otrzyma **BEZPŁATNIE** paczkę zawierającą pewny **ŚRODEK** przeciw **REUMATYZMOWI i PODAGRZE.**



Wykrzywienie rąk przy chronicznym reumatyzmie stawów.



Zeszpecająca deformacya rąk podczas zwykłego chronicznego artikularnego reumatyzmu. Typ pierwszy.

Długi czas cierpiałem na REUMATYZM i podagrę, lecz żaden środek nie przyniósł mi najmniejszej ulgi, lekarze zaś uważali chorobę mą za nieuleczalną. Po upływie pewnego czasu udało mi się zestawić lekarstwo z 5 zupełnie nieszkodliwych części i używając środek ten bardzo krótki czas, zdołałem wyleczyć się zupełnie. Następnie próbowałem dawać to samo lekarstwo mym znajomym i sąsiadom, cierpiącym na reumatyzm, jak również chorym, leczącym się w szpitalach na tę chorobę, a osiągnięte rezultaty wprost zdumiewały najpoważniejszych lekarzy, którzy przyznali, że wynaleziony przezemnie środek leczniczy jest najpewniejszy przeciw tej chorobie.

Od tego czasu zdołałem zapomocą tego środka wyleczyć już setki osób, które skutkiem choroby tej stały się niedołężnemi kalekami, niemogącemi ani jeść, ani ubierać się bez pomocy drugich, z tych wielu w wieku lat 60 do 75, cierpiących na REUMATYZM od lat 30. Jestem tak pewien skutecznego działania tego środka leczniczego, iż postanowiłem rozesłać bezpłatnie kilkaset paczek, aby dać możność liczným zastępom chorych skorzystać zeń.

Jest to środek cudowny i nie ulega żadnej wątpliwości, iż chorzy, których lekarze oraz na kuracyi w szpitalach uważają za nieuleczalnych, mogą być zupełnie wyleczeni. PROSZĘ ZWRÓCIĆ UWAGĘ NA TO, IŻ NIE ŻĄDAM ŻADNEGO HONORARYUM, lecz proszę tylko zakomunikować mi, iż WP. życzy sobie otrzymać bezpłatnie paczkę tego środka leczniczego na próbę, wymieniając nazwisko swe i dokładny adres w języku polskim. O ile środek ten okaże się WP. potrzebnym w większej ilości, to zaznaczam, iż cena tego jest bardzo umiarkowana. Nie pragnę bynajmniej zbogacić się, przeciwnie zaś pragnę tylko, aby wynalazek mój przyniósł największą ulgę cierpiącym na tę chorobę.

Proszę zwracać się na kartkach pocztowych lub frankowanych marką za 10 halerzy (listy 25 halerzy) do **M. E. Trejser, 162. Bangor House, Shoe Lane, E. C., London,** England.

Coraz piękniejsze stają się **parkiety** po użyciu

„Cirine!"

Dnia 19/5 1902. Pani **L. J.**, Pettau.
„Cirine" jest rzeczywiście łatwa do użycia, jest wydatną i trwałą. Im więcej posadzka bywa czyszczoną, tem piękniejszy połysk otrzymują.
Moi znajomi i ja jesteśmy bardzo zadowoleni. Wszędzie do nabycia. 1/1 flaszka K 3·—, 1/2 flaszki K 1·70.
Jedyny wytwórca: **J. Lorenz & Co., Eger i. B.**



Dokładna robota jest to dobry patent!

KNAPIŃSKI

Zakład własny
wyrobów ortopedycznych
dostawcy klinik uniwers. Jagiell. i szpitali wojsk.

Aparaty syst. Hesinga
do leczenia skrzywień kręgosłupa i chorób kończyn stawowych, bandaże, pasy, gorsety, pończochy gumowe bez szwu,
prostotrzymacze dla dzieci, nogi sztuczne i szczudła.

Wykonywane wedle wskazówek WP. Profesorów i lekarzy, odznaczone na wystawach lekarskich złotymi medalami.

Kraków, Mikołajska 7.
Telefon 505.



STRZELBY



Jednolufki	od Kor.	96·—
Dubeltówki	„ „	86·—
Floberty	„ „	8·50
Pistolety	„ „	2·—
Rewolwery	„ „	5·—

Naprawy możliwie najtaniej.
Bogato illustrowany Cennik darmo i opłatnie.

F. DUŠEK
fabryka broni
w Opočno Nr. 455.
n. d. Staatsbahn. Czechy.

---

8 dni na próbę!

Nie kupujcie zegarków bez wypróbowania.
Wysyłam każdemu za zamówieniem prawdziwy 14-kar. złoty-plaqne-męzki zegarek z podwójnym płaszczem za cenę **Kor. 20.**
Przy zamówieniu płaci się tylko połowę, a po czasie próby resztę, — Gwarancya 3-letnia.
Zamówienia przyjmuje
Joh. Weiner, Wiedeń XIX/1
Boschstr. 2/7.

Tanie czeskie **PIERZE**



5 kilo nowego, dartego K 9·60, lepszego K 12, białego dartego miękkiego jak puch K 18 i 24, śnieżno białego dartego miękk. jak puch 30 i 36. Wysyłka franko za zaliczką, zamiana i zwrot opłatnie dozwolona
Benedykt Sachsel, Lobes N. 265 obok Pilzna, Czechy.

Lalki Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie poleca w wielkim wyborze **S. SZCZURKOWSKI W KRAKOWIE ul. Grodzka 2**

Pierwszorzędny Zakład pogrzebowy i fabryczny skład trumien **J. HORAK** Kraków, Mikołajska l. 14. Telefon 248.
Wspaniałe urządzenia pogrzebowe, ekshumacye, sprowadzania i przewozy zwłok. — **Ceny umiarkowane** — **Rzetelna obsługa.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.